MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK V. Nr 4 (43) WARSZAWA, 24 PAŹDZIERNIKA 1925 R. CENA NUMERU 80 gr.

O DOSTĘP CYWILIZACJI DO ZIEMI

WALKA o ziemię, prowadzona przez całe włościaństwo polskie, nie toczy się o samo tylko zawładnięcie ziemią bez względu na sposób dojścia do jej posiadania. Gdyby tylko o nasycenie głodu ziemi chodziło, to już dziś znajdowałaby się ona w całości w rękach chłopskich, przynajmiej wszystkie te grunty, które technicznie mogłyby ulec zaborowi. Tymczasem, mimo całego zamętu rewolucyjnego, w okresie organizowania się nikłych zaczątków państwowości, kiedy władza bezpieczeństwa byłaby bezsilna wobec jakichkolwiek ludowych ruchów agrarnych, nie ujawniły się one nawet w okolicach, dotkniętych największą nędzą chłopską. Najradykalniejsze ugrupowania chłopskie, których przedstawiciele nieraz pozwalali sobie w Sejmie na pogróżki całkiem niedwuznaczne, w rzeczywistości nie posunęły się nigdy tak daleko, aby miały naprawdę organizować „akcję bezpośrednią“ w kraju.

Brak rozruchów agrarnych sprawia, iż pojawiają się *sui generis* optymiści, dowodzący, że chłop ziemi folwarcznej nie pożąda, a polityczny ruch agrarny jest tylko wymysłem ludowcowych agitatorów. Złudzenie to — niezmiernie dalekie od rzeczywistości. Każdy, najbardziej unarodowiony i „endecki“ chłop jest radykalnie usposobiony w sprawie rolnej. Na gruncie prawa, za umiarkowanem wynagrodzeniem pragnie on otrzymać ziemię folwarczną tak, jak kiedyś otrzymał ją w drodze uwłaszczenia z rąk rządów zaborczych. Polska upadająca nie zdołała chłopa uwłaszczyć i wyemancypować. Dziś domaga się on, aby w zmienionych warunkach zakończone zostało dzieło uwłaszczenia i społecznej jego emancypacji.

I dlatego właśnie chłopu w Polsce nie chodzi tylko o zagarnięcie ziemi, a jego dążenia agrarne nie są tylko apetytem na cudze dobro. Chłop prowadzi walkę o ziemię i prawo łącznie. Ma poczucie, że jego sprawa z folwarkiem to nie sąsiedzki zatarg o grunt, ale ogniwo długiego, wiekowego łańcucha sporu między dworem a wsią.

Rzeczywiście, spór ten trwa setki lat i stanowi oś społecznych dziejów Polski niepodległej. Był czas, kiedy ziemie kmiece bywały wcielane do folwarków, przyszedł potem czas, kiedy ziemie folwarczne przechodzą w ręce włościańskie. Okres ten jeszcze się nie zakończył, a nie wiemy, czy jest to ostateczna forma własności rolnej, i czy znowu nie będzie naród przeżywał kiedyś „reformy rolnej“ w jakimś odwrotnym kierunku. Ale jak dawniej, proces pomiędzy dworem i wsią jest kapitalnem zagadnieniem ustrojowem Polski, a nie wyłącznie kwestją gospodarstwa i produkcji zbożowej. To też rozgrywa się on nietylko w płaszczyźnie ekonomicznej i prawnej, ale w płaszczyźnie całej naszej struktury cywilizacyjnej.

Rzecz znamienna, jak dokoła sprawy rolnej wytwarza się dodatkowa nadbudowa, czysto ideologiczna, nie mająca nic wspólnego z gospodarczemi, a nawet społecznemi stronami zagadnienia. Wbrew programowi upaństwowienia i idei koncentracji produkcji, kiedyindziej tak bezwzględnie forsowanym, wbrew istotnej pogardzie swej dla chłopa, ludzie kierunku socjalistycznego, partyjni i niepartyjni, umiarkowani i krańcowi, z niezmierną energją popierają sprawę reformy. Ale to popieranie przybiera postać niezmiernie charakterystyczną dla całego dotychczasowego biegu sprawy agrarnej u nas. Ma się nieodparte wrażenie, że protektorom sprawy ludowej nietyle chodzi o zaspokojenie w granicach możliwości potrzeb ludu, ile o zlikwidowanie w społeczeństwie warstwy większych właścicieli rolnych. Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie będzie nietrudna, gdy uprzytomnimy sobie skutki, jakie wyniknęłyby dla naszej struktury społecznej i cywilizacyjnej w razie całkowitego zlikwidowania większych gospodarstw wiejskich. Istnieje popularne, szablonowe twierdzenie, że zdrowa, zamożna warstwa włościańska jest najlepszą ostoją porządku prawnego i społecznego, źródłem zdrowego konserwatyzmu w narodzie. W rzeczywistości jednak, gdy rzecz głębiej rozpatrzyć, nie przedstawia się ona tak prosto.

Warstwa włościańska jest wielka, liczna, szeroka rozlana, ale o płytkim, ubogim nurcie. Cnoty chłopskie mało sięgają w sferę życia ponadchłopskiego, które musi istnieć własnemi walorami moralnemi.

Chłop jest religijny. Ale tylko w granicach własnego życia chłopskiego. Religijny, modlący się w niedziele i święta, odwiedzający wszystkie odpusty wieśniak obdarzył jednak zaufaniem cały szereg masonów i radykałów o jaskrawie antyreligijnem stanowisku, skoro tylko obiecali mu ziemię i ulgi podatkowe. Przy pomocy chłopa można przeprowadzić najdalej idące zamachy na wszystkie ponadparafjalne interesy życia religijnego, wytępić na szczytach życia społecznego religijną tradycję—byleby tradycyjny porządek w parafji wiejskiej nie został zakłócony. W granicach obyczaju i rolniczych przyzwyczajeń chłop niewątpliwie jest konserwatywny. Ale jest to konserwatyzm ciasny i zamknięty. Ten sam chłop może być najposłuszniejszem narzędziem radykalizmu na tle pozachłopskiego życia. Jakże skutecznie posługują się naszym, tak konserwatywnym chłopem sfery radykalne dla przeprowadzania swych eksperymentów na tle stosunków miejskich, przemysłowych, czy robotniczych. Francja jest klasycznym krajem drobnego rolnictwa, a więc krajem przewagi owego „zdrowego elementu konserwatywnego, będącego podstawą ładu i porządku społecznego". A jednak, pomimo to, Francja jest jednocześnie wymarzonym krajem radykalizmu społecznego w całej pozachłopskiej dziedzinie życia, jest ziemią obiecaną masonerji, krajem, gdzie socjalizm i syndykalizm wszelkich odcieni ogromne mają wpływy i znaczenie. Konserwatyzm chłopa rosyjskiego nie przeszkodził bynajmniej garści bolszewików obalić cara i ujarzmić cerkiew prawosławną od góry.

Jak w stosunku do wiary i tradycji, tak i w stosunku do roli, chłop wytworzyć może tylko uboższe, prostsze i bardziej ograniczone formy przywiązania. Wyższe, subtelniejsze formy przywiązania do przyrody, do zagona ojczystego i tradycji pracy na nim może wytworzyć tylko społeczeństwo agrarne nie-chłopskie.

Nasza tradycja i obyczajowość są wytworem dziejów wielkiego narodu rolniczego. Stąd muszą być obce dla narodu o odmiennym typie, przedewszystkiem dla Żydów. Walka z naszą cywilizacją musi przejawić się w pierwszym rzędzie, jako walka z jej rustykalizmem. O ileby się udało zatamować to źródło, którem dla naszych natchnień i myśli jest związek wyższych form psychiki polskiej z ziemią i wsią polską, to byłoby to równoznaczne ze zwekslowaniem naszej psychiki na odmiene tory, a jednocześnie podcięciem u podstaw związku między Polską współczesną a dorobkiem jej poprzednich pokoleń. Tradycja nasza, historja i literatura stałyby się dla wykształconych Polaków przedmiotem niemal tak obcym, jak dziś są dla Żydów.

I nie da się tu wysunąć argumentu, że kompletne zburzenie „dworu polskiego" z całą jego tradycją bynajmniej nie zmieniłoby charakteru naszego typu cywilizacyjnego, gdyż pozostalibyśmy narodem nie mniej, ale może bardziej rolniczym, niż przedtem. Można bowiem w kraju gęsto zaludnionym ubogimi drobnymi rolnikami wytwarzać cywilizację o charakterze wybitnie urbanistycznym, burżuazyjnym, merkantylnym. Dowodem obecna, porewolucyjna literatura francuska.

Najściślejszą formą współżycia narodu z jego ziemią ojczystą jest praca na ojczystym zagonie. Kiedy ta praca wkładana jest w zagon ojczysty przez jednostki ubogie i ciemne, kiedy ma pierwotny jedynie charakter, wówczas i psychiczny równoważnik tej pracy jest pierwotny i ubogi. Aby związek pomiędzy duszą narodu a jego ojczystą ziemią ujawnił się w bogatej treści psychicznej, muszą istnieć w narodzie takie warunki, aby ludzie o wysokim poziomie kulturalnym, umysłowym i moralnym mieli możność wejść z ziemią ojczystą w ten najgłębszy stosunek wysiłku twórczego, pracy na niej. Najpiękniejsze, najwznioślejsze momenty naszej twórczości duchowej, poczynając od Jana z Czarnolasu, poprzez całą literaturę wieku złotego, aż do Mickiewicza i Sienkiewicza, poczęte są z tego najbliższego stosunku, jaki istniał między najwyższemi przejawami duchowości polskiej a przyrodą i ziemią ojczystą.

To wszystko jest właśnie przedmiotem nienawiści obozu radykalno-żydowskiego. I gdyby przy okazji załatwiania sporu dziejowego między wsią i dworem udało się im doprowadzić do tego, iż zerwałby się związek, jaki wytwarza się pomiędzy ziemią ojczystą a wyższemi formami życia psychicznego przez pracę na roli — byłaby to dla nich doniosła „reforma" naszej narodowej duszy.

To też polska myśl polityczna musi dbać nietylko o to, aby w wielkim, wiekowym procesie między dworem i wsią wymierzona została ludowi polskiemu dziejowa sprawiedliwość. Musi pamiętać również, aby staropolski „dwór" z tem, co istotnie zawiera w sobie wartościowego, nie został w Polsce całkowicie zniszczony. I to nietylko, jako „producent zboża", za jakiego przedstawiają go jego zawodowi „obrońcy". Rolnictwo, jako zasadnicza, odwieczna forma pracy narodowej, musi mieć w Polsce swoje wyższe postacie, i nietylko od-dolny, ale i odgórny refleks w naszej strukturze cywilizacyjnej. Człowiek uprawia rolę, ale i rola uprawia człowieka.

Nie prowadzi to bynajmniej do twierdzenia, jakoby obecni właściciele folwarków byli w większości, jako klasa, przedstawicielami tego odgórnego refleksu. Niestety, znaczny procent tej klasy—to jednostki, które nie mają najmniejszego prawa i najmniejszych danych do przypisywania sobie roli ludzi, którzy realizują związek psychiki polskiej z ojczystą ziemią.

W walce pomiędzy dworem a wsią jedni namiętnie walczą po jednej, inni po przeciwnej stronie. Myśl narodowa musi uchwycić nić wyższej sprawiedliwości, i stanąwszy ponad walczącemi szeregami, spokojnie przyjmować zarzuty, że jest zarazem wrogiem „ludu pracującego" i wrogiem „polskiego dworu".

STEFAN DOBRZAŃSKI

NIEŚMIERTELNOŚĆ POEZJI STAROPOLSKIEJ

Pisząc o „Mickiewiczu w świetle niepodległości“ p. Jan Nepomucen Miller mimochodem na marginesie „Pana Tadeusza“ potępił „równie nieświętej pamięci“ „Żywot człowieka poczciwego“ Reja. Zdaniem więc jego „Żywot“ ów, „złowroga książka historji szlacheckiej“, jak „Pan Tadeusz“ „zaraża i kosi dusze, zatrute tchnieniem swego dosytu“.

W sprawie „Pana Tadeusza“ odezwały się głosy protestu— w sprawie poezji staropolskiej, tak srodze pokrzywdzonej w osobie Reja, nie odezwał się nikt. Nikt głosu nie wzniósł w obronie jej wiecznotrwałych wartości, chociaż mniej lub więcej ostre a niesprawiedliwe o niej sądy panoszą się u nas bezkarnie. Nikt nie wystąpił przeciwko tym, którzy w „dosycie“ staropolskich poetów widzą cechę zleniwiałego pasibrzuchostwa, a w ich pogodzie — bezwład.

Poezja staropolska, ziemiańska, z ziemi soki swoje czerpiąca, jak bujna roślinność młodzieńcza i kwitnąca, jest cała jedną wielką radością. Radość ta nie z lektury Anakreonta, czy też Horacego płynie, lecz tętni żywą krwią szczęśliwości wiejskiej na „wsi spokojnej, wsi wesołej“, śród trudów i zabaw.

„Są w fizycznem życiu człowieka chwile wielkiej błogości po zdrowem, pracowitem zmęczeniu — pisze Weyssenhoff. — Mózg rozedrgany zwykle nadmiernie, szarpany przez ambicje, przewidywania przyszłości, niepokoi ciało, osłabia normalną, zwierzęcą grę organizmu. Czasami jednak mózg, ten przekorny psowacz harmonji, usypia pod wpływem silnych robót muskularnych, nie wybiega już pragnieniami poza granice ciała—i człowiek układa się, jako posłuszny atom na swojem miejscu w przemądrem krążeniu materji, rozpływa się w wieczności harmonji i szczęścia“.

Słowa te znakomicie zastosować można do staropolskiej „wieśnej“ poezji. Poeci-ziemianie ułożyli się, jako posłusze atomy na swojem miejscu „w przemądrem krążeniu materji“ i rozpłynęli się „w wieczności harmonji i szczęścia“.

A ten, kto im zarzuca bezwład i dosyt, niech gromi za bezwład i dosyt bujne rośliny, z ziemi ojczystej soki czerpiące!

Zygmunt Wasilewski w książce „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej“ mówi, iż „cywilizacja europejska nie wstydzi się doczesności, dąży do pełni życia... Dążenia takie nie marnują niczego, co jest boskiego w człowieku“.

Poezja staropolska nie wstydziła się doczesności i dążyła do pełni życia. Staropolscy poeci siedzieli na wsi „na żyznym zagonie“, a że im dobrze było „jako u Boga na łonie“, więc w pieśniach swoich głosili pochwały wsi, której „roskoszy y pożytki, uciechy y wczasy wszytki“ nie dadzą się nawet wypowiedzieć.

Jako ziemianie, ponad wszystko miłowali ziemię ojczystą. Widzimy tę miłość do kochanej „roliczki“ i w utworach Reja i w pięknym poemacie Jeżowskiego w którym autor woła:

„O rolo pożyteczna, smaczna y kochana!
Ciebie trzeba sprawować dobrze y szanować,
trzeba się w tobie kochać...“

Cała przyroda współdziałała w powstawaniu ich pieśni. Słusznie mówi Bartłomiej Zimorowicz w jednej ze swych sielanek:

„Same ptaszęta, które poranek witaią,
nowy początek naszej melodyi daią.
Same wiatry y strugi, które głośno depcą
kamyki, ciche tony do uszu nam szepcą.
Z nami echo w dolinach nizkich siedząc gada,
a do słów naszych koniec rymownych przykłada,
że nigdy nie złożymy parę wierszów sami,
my tylko pierwszy, echo tworzy drugi z nami...“

W tak powstałych „wirszach“ odzwierciadliło się całe bujne życie sielskie, łowy na „łanie wiatronogie, abo wieprze srogie“, stawianie sideł na ptaki, gonienie krogulcem przepiórek, szczwanie „krzykliwymi ogary“ chytrych liszek i „saren pierzchliwych“. Opiewali poeci i prace wiejskie w polu oraz sadzie i słodki odpoczynek w cieniu lipowym, „gdzie gospodarskiey głowy od gorącego lata chroni list...“ Opiewali miłe wytchnienie „w pachniącym ogrodzie, w chłodniku przeplatanym przy strumienney wodzie...“

A radością napełniała ich dusze nietylko „z owiec wełna y zagroda iagniąt pełna“, nietylko naładowane zbożem stodoły, ale i śpiew „wdzięcznego słowiczka w gęstey topolinie“ i pieśń skowronka który „krzyczy w oziminie“.

Wiosna, co „wesołą barwą nagie przyodziewa drzewa“ (B. Zimorowicz) przynosiła szczęśliwość i poetom-ziemianom. Z wiosną „pociechy zewsząd same wynikaią, zewsząd do nas radości nowe przybywaią“, „godziny niosą wdzięcznego wesela przyczyny“. (Sz. Zimorowicz). „Każdy wtenczas z radością iest dobrey nadziei“ „Raduią się kwiateczki, radują się drzewa, sady y winnice“ (Jeżowski). „Śmieią się kwiatkami upstrzone łąki zielone“, „Stworzenie wszytko śmieie się y lotne ptastwo piosneczki wykrzyka zalotne“. (Morsztyn). Bowiem

wiosna wszystkiemu czołem: ona śniegi zbiera
y na przemarzłey ziemi ona rozpościera
różnych kwiatów szpalery...“ (Kochowski).

Obok szczęścia młodej wiosny spotykamy w dawnych pieśniach naszych i szczęście słonecznego lata i dojrzałą szczęśliwość złotej jesieni, która „wina y iabłka rozmaite dawa“ i radość zimy mroźnej, pory łowów oraz zabaw domowych.

Szczęście domowego ogniska najlepiej wyśpiewał Rej. Widzimy w jego utworach i apoteozę „żonki wychowania i ćwiczenia roztropnego, obyczaików nadobnych y stydliwych“ i apoteozę szczęścia rodzicielskiego „gdy owi przyrodzeni błazenkowie. a owe dziateczki wdzięczne przypadną, gdy iako ptaszątka około stołu biegaiąc świrkocą a kugluią, iaka to iest roskosz, a iaka pociecha“.

„Dobrą myśl“ daje poetom staropolskim sama twórczość. Wdzięczną lutnię „skąd pociechę w swych troskach biorą ludzie smutni“ nazywa Kochanowski „ochłodą myśli utrapionych“. Szymonowicz zaś mówi: „Muzy! naszczęśliwszy kto z wami do śmierci wiek trawi“. Morsztyn „sobie w domu gędził, aby zły humor odpędził“. W wierszu „Do Lutnie“ woła:

„Smutny w swey potrzebie
miód bierze z Ciebie...“

„Miód brali“ z pieśni poeci staropolscy. Jędrzej Zbylitowski w jednym z najpiękniejszych utworów zwraca się do wsi z następującą apostrofą:

„Wsi cnotliwa, boday tobie
kwitła sława ku ozdobie:
iam twóy — tyś moia...“

Słowa te mogą służyć, jako dewiza całej staropolskiej poezji. Życie na wsi było najważniejszem i niewyczerpanem nigdy źródłem pogody i „dobrej myśli“ dla poetów, których powszechnem wyznaniem stały się słowa Rejowe: „poćciwy człowiek zawdy z roskoszą użyć sobie może roskosznego żywota, by go sam sobie dobrowolnie nie psował“.

Odrodzenie w Polsce, jak również na Zachodzie cechowała pewna dwulicowość poetycka. Każdy z poetów, jak to podkreślił Nowaczyński, był poniekąd „ w swej personie dwugłowym Janusem, miłośnikiem ksiąg i kochankiem świata, teologiem moralistą i komikiem dybidzbanem, swędrą i włóczykijem a znowu zadomowionym patrjarchą, poganinkiem frankującym sprośnie — a znowu egzegetą, wytrząsającym z rękawa kopy dogmatów i gnomów...“ Każdy z poetów ówczesnych „huśtał się między Heraklitem a Demokrytem, między Apokalipsą Bullingera, a facecjami Poggia“.

Dwulicowość taka miała źródło swoje po większej części w rozbieżności refleksji z uczuciem, teorji z praktyką, lektury z życiem. W teorji był każdy z poetów miłośnikiem ksiąg, moralistą, zadomowionym patrjarchą. W praktyce — kochankiem świata. Stąd smutek refleksyjny, przenikający moralno-pouczające utwory poetyckie i żywiołowa radość, tryskająca z każdej pieśni szczerej, płynącej prosto z duszy.

Tego rodzaju dwoistość posiadała zresztą nietylko polska poezja owych czasów. Podobne zjawiska występują i na Zachodzie. Natomiast ziemiańska szczęśliwość jest u nas czemś oryginalnem i specyficznie polskiem. Przyczyny tego należy szukać przedewszystkiem w różnicy środowisk, w których powstawała twórczość literacka na Zachodzie i u nas. Podczas gdy w Niemczech i we Włoszech odrodzenie nosiło piętno wybitnie mieszczańskie, u nas bojownikami jego w piśmiennictwie byli przeważnie poeci-ziemianie.

Radość życia poezji staropolskiej odzwierciadla w sobie radość życia całej ówczesnej Polski szlacheckiej. Była więc nietylko najwybitniejszą cechą naszego piśmiennictwa, ale też i naszego życia narodowego.

W późniejszych czasach dopiero, w obliczu nieszczęść narodowych, narodził się „kwietyzm, zaspokojenie tem, co się ma, a brak dążenia i pragnienia“, jak o tem pisał St. Tarnowski, kwietyzm, prowadzący do apoteozy „siły bezwładu kamienia przydrożnego“, według słów Millera.

Lecz jakże dalecy od kwietyzmu tego byli staropolscy poeci o bujnym, żywiołowym i młodym temperamencie! Czyż możemy winić za to pachnący kwiat, iż owoc jego spada na ziemię?

Jakże daleki od apoteozy kwietyzmu był również nieśmiertelny twórca „Pana Tadeusza“, który w swoich znakomitych wykładach o literaturze słowiańskiej mówił: „Do niebezpieczeństw, grożących Polsce, przyczyniła się niezmiernie ta wielka jej szczęśliwość, ta niesłychana pomyślność... Nic nie było łatwiejszego, jak zaślepić się tą pomyślnością i broić“.

Nie tych więc, co chwalili szczęśliwość winić należy, ale tych, co broili. Nie tych, którzy wielbili „dobrą myśl“, lecz tych co sieli złe ziarno.

Nieszczęścia Ojczyzny zniszczonej „ogniem i mieczem“, zalanej „potopem“ wrogów, rzuciły czarny kir na uśmiechnięte dusze poetów. Zamilkły weselem brzmiące harfy staropolskie, zagłuszone żałobną skargą narodu, stojącego nad przepaścią.

Zabrzmiała skarga:

„Boże łaskawy, przyjmi płacz krwawy
upadających ludzi...“

Lecz nie jest winą uśmiechniętej wiosny, że nastaje po niej kiedyś smutna jesień i lodowata zima...

Poezja staropolska XVI i początków XVII wieku była uosobnieniem młodości. Nie był to kamień przydrożny, trwający w bezruchu, ale rwący strumień wiosennych, wezbranych wód, strumień o kwietnych brzegach, w którym odbijało się niebo uśmiechnięte...

JULJAN EJSMOND

FORMA W SZTUCE

TREŚCIĄ w sztuce są wrażenia, wzruszenia i wyobrażenia, które artysta w dziele sztuki wyraża. Ponieważ treść ta może uzewnętrznić się i utrwalić tylko w świecie fizycznym, więc treść swoją sztuka wyraża wyłącznie za pomocą fizycznych środków artystycznych— statycznych i dynamicznych. Zatem formą w sztuce jest zespół fizycznych środków artystycznych, któremi wyraża się treść sztuki.

Określenie powyższe, elementarnie logiczne i jasne, wymaga nietyle dowodzeń, ile rozwinięcia, należy je bowiem uchronić z jednej strony od zarzutu zbytniej ogólnikowości, z drugiej zaś—faktami wykazać, że wszystkie środki artystyczne, któremi sztuka się wyraża, albo wręcz są fizyczne, albo na ugrupowaniach fizycznych środków oparte i tylko z nich złożone. W tym celu konieczne jest dokonanie przeglądu wszystkich sztuk poszczególnych i ich środków artystycznych.

Tu jednak powstaje pytanie, ile jest sztuk na świecie i jakie mianowicie? Bez tej bowiem wiadomości nie zdołamy uczynić przeglądu sztuk. A że na to najprostsze pytanie nikt, o ile mi wiadomo, dotychczas nie odpowiedział, przeto obowiązek ten spada dziś na mnie. Tym sposobem, dążąc wprost do rozwinięcia określenia formy w sztuce, rozwiązać musimy po drodze drugie, dla szkicu niniejszego uboczne, lecz niemniej ważne zadanie.

Kto chce oznaczyć ilość istniejących sztuk poszczególnych i wymienić je, ten musi naprzód znaleść ścisły, naukowy sprawdzian dla odróżnienia każdej sztuki od innych i dowieść jej samodzielności. Dokonałem tego i obszernie uzasadniłem gdzieindziej*). Tu streszczę tylko wyniki badań swych i poglądów.

Skoro dziedzina treści w sztuce (w mojem określeniu) jest dla wszystkich sztuk jedna, to, rzecz jasna, sztuki poszczególne mogą się różnić między sobą tylko w dziedzinie formy, czyli w charakterze fizycznych swoich środków artystycznych. To jest nić główna, która nas do każdego zosobna doprowadzi kłębka. Ponieważ zaś najpewniejszym sprawdzianem odrębności każdej sztuki jest ten fizyczny środek artystyczny, który jest dla niej bezwzględnie we wszystkich jej dziełach konieczny (bez którego dana sztuka uzewnętrznić się nie może), więc w poszukiwaniu i ocenie tych środków trzeba kierować się warunkiem konieczności fizycznego środka artystycznego dla każdej sztuki poszczególnej. Tą drogą doszedłem do ustalenia ilości sztuk i ich odrębności.

---

*) Mianowicie: w latach 1912 i 1913 napisałem w tym przedmiocie pierwszą część książki pod ogólnym tytułem „Teorja sztuki“, którą w początkach roku 1915 uznał za wartościową Zarząd Kasy im. Mianowskiego, wręczając mi zapomogę pieniężną na dalszą pracę. Z powodu wojny światowej i innych po niej przyczyn odemnie niezależnych książka leży dotychczas w rękopisie.

W następującem tu kolejnem wyliczeniu sztuk obok ich artystycznych środków koniecznych (które nadal nazywać będę „zasadniczemi“) umieszczam również pomocnicze środki fizyczne (artystyczne), a to dla pełnego obrazu całości. Otrzymamy wobec tego w krótkim wykładzie nietylko ilość sztuk poszczególnych z ich wykazem imiennym, lecz, nadto, przegląd głównych fizycznych środków artystycznych dla sztuki wogóle. Nie odbiegnę przeto od przedmiotu, bowiem w myśl założenia szkicu niniejszego tego właśnie przeglądu mamy dokonać:

1. Rysownictwo (mylnie zwane rysunkiem). Środek zasadniczy: linja. Środek pomocniczy: barwa (w tem plama światłocieniowa, która, ściśle biorąc, jest barwą).

2. Malarstwo. Środek zasadniczy: barwa. Środek pomocniczy: linja.

3. Rzeźbiarstwo (mylnie zwane rzeźbą). Środek zasadniczy: płaszczyzna. Środki pomocnicze: barwa i bryła architektoniczna.

4. Budownictwo (architektura). Środek zasadniczy: bryła architektoniczna. Środki pomocnicze: płaszczyzna, barwa i linja.

5. Muzyka. Środek zasadniczy: dźwięk (w tem głos ludzki). Środków pomocniczych niema.

6. Poezja. Środek zasadniczy: słowo. Środek pomocniczy: dźwięk (w słowie zawarty).

7. Dramaturgja. Środek zasadniczy: działanie. Środki pomocnicze: słowo i dźwięk (w słowie zawarty).

8. Aktorstwo. Środek zasadniczy: gest (do którego włączam pozę, wyraz twarzy i intonację, są to bowiem również gesty). Środki pomocnicze: ruch, dźwięk (w głosie zawarty), barwa i płaszczyzna (w charakteryzacji i kostjumie).

9. Tancerstwo (mylnie zwane tańcem). Środek zasadniczy: ruch. Środki pomocnicze: gest, oraz barwa i płaszczyzna (w charakteryzacji i kostjumie).

Podział powyższy wywoła zapewne w niejednym punkcie wątpliwości, ale ich usunięcie wymaga tak obszernych objaśnień i dowodzeń, że nie mogę niemi przerywać wywodów szkicu niniejszego. Objaśnienia w razie potrzeby dam przy sposobności szczegółowego na tem miejscu poruszenia tego lub owego punktu. Tymczasem ograniczę się do kilku uwag następujących:

Podany tu wykaz obejmuje wszystkie na świecie istniejące sztuki piękne. Zdobnictwo i t. zw. sztuki stosowane (rzemiosła artystyczne) są tylko stosowaniem jednej lub kilku sztuk wyżej wymienionych (przeważnie plastycznych) do przedmiotów użytkowych. Istniejące sztuki złożone składają się również tylko ze sztuk przezemnie wyliczonych. (Np. sztuka teatralna, która składa się conajmniej z dwóch sztuk — dramaturgji i aktorstwa, zwykle zaś i z poezji, a nadto z malarstwa, muzyki, rzeźbiarstwa, rysownictwa, cząstkowego budownictwa i tancerstwa, jako sztuk pomocniczych). Niektóre sztuki w pełnej swej postaci nie mogą istnieć bez pomocy innych (np. malarstwo ściśle łączy się z rysownictwem, dramaturgja stale wyraża się poprzez poezję i t. p.), ale to nie wyłącza ich odrębności. A wreszcie zwracam uwagę, że określenie „środek fizyczny“. celowo opatruję przymiotnikiem „artystyczny“, istnieją bowiem także środki materjalne w sztuce (np. papier, płótno, farba, glina, marmur i t. d.), te jednak należą już do techniki i kuchni sztuki, a wpływ ich występuje tylko poprzez taki lub inny charakter fizycznych środków artystycznych. Zatem kuchnia i technika w danej chwili nas nie obchodzą.

Przechodząc do ciągu rozumowania, stwierdzić muszę przedewszystkiem fakt, że każda sztuka poszczególna posiada na swoją własność wyłączną jeden zasadniczy fizyczny środek artystyczny — i tym właśnie środkiem różni się od innych sztuk. Łatwo przytem zauważyć, że środki pomocnicze każdej bez wyjątku sztuki są jednocześnie zasadniczemi dla niektórych innych. Tym sposobem w wyliczeniu fizycznych środków artystycznych dla sztuki wogóle możemy pominąć już podział ich na zasadnicze i pomocnicze, a nazwać je wogóle dla sztuki „środkami artystycznemi“, nie powtarzając przytem, że są fizyczne, bowiem innych w sztuce niema. Otrzymamy wtedy dla dziewięciu sztuk, czyli dla sztuki wogóle następujący szereg dziewięciu jej środków artystycznych: linja, barwa, płaszczyzna (rzeźbiarska), bryła architektoniczna, dźwięk, słowo, działanie, gest i ruch.

Zatem: zespół tych konkretnych środków artystycznych stanowi formę w sztuce. Rzecz prosta, że każda sztuka poszczególna (a czasem nawet każde jej dzieło) innem ugrupowaniem tych środków się posługuje, ale poza wyliczone tu środki żadna sztuka wyjść nie może.

Na tem mógłbym wywody swoje zakończyć. Że jednak każdy z tych środków artystycznych stwarza pewne skupienia, które mowa ludzka odrębnemi odznaczyła nazwami, więc powstaje pozór, że istnieją nadto inne jeszcze środki artystyczne w sztuce. Z tego powodu musimy jeszcze chwilę uwagi poświęcić tej nadbudowie fizycznych środków artystycznych.

Istnieje, mianowicie, drugi szereg środków artystycznych, jakoto: kształt, układ, budowa, styl, rym, rytm — i jakiekolwiek tu jeszcze włączymy. Analiza każdego z tych nadbudowanych środków przekona nas, że każdy z nich składa się z jednego lub paru zpośród dziewięciu zasadniczych, a różni się od nich tylko nazwą syntetyczną, daną nowemu powstającemu z nich zjawisku. Weźmy przykład. Kształt na pierwszy rzut oka jest czemś samodzielnem w stosunku do dziewięciu wyliczonych wyżej środków artystycznych. Lecz bliższe wejrzenie ujawnia, że kształt w rysownictwie jest tylko zespołem linij lub plam światłocieniowych (barw), kształt w malarstwie jest tylko zespołem barw i linij, kształt w rzeźbiarstwie jest tylko zespołem płaszczyzn. kształt w budownictwie jest tylko zespołem brył architektonicznych, kształt w muzyce jest tylko zespołem dźwięków i t. d. To samo stosuje się do wszystkich innych skupień, nazywanych układem, budową, rymem, rytmem, tonem, stylem i t. d. Dla pedanterji możemy ten szereg nadbudowanych skupień nazwać pochodnemi środkami artystycznemi, zaś tamte pierwiastkowe — głównemi.

Obudzona pedanterja zmusi nas jednak raz jeszcze do zanotowania trzeciego (i ostatniego) szeregu środków artystycznych, mianowicie tych, które opatrzymy nazwą synestetycznych. Jest prawo synestezji w psycho-fizjologji, którego mocą wrażenia jednego zmysłu mogą wywoływać wrażenia drugiego, np. dźwięk może wywołać wrażenie barwy, barwa — dźwięku i t. d. Otóż prawo to działa i w sztuce, powodując takie potoczne (i słuszne) określenia, jak „rytm w architekturze“, „barwa, linja, lub bryła w muzyce“ i t. p., jakkolwiek wiemy, że rytmu w dosłownem znaczeniu niema w budownictwie, ani barwy, lub linij — w muzyce. Szereg ten również sprowadza się wprost do szeregu dziewięciu głównych środków artystycznych — z tą jedynie uwagą, że wtrąca się tu do niego fizjologiczne prawo synestezji.

W ogólnym wyniku otrzymaliśmy konkretny (i niedługi) szereg dziewięciu fizycznych środków artystycznych, któremi (w różnych ugrupowaniach) wyłącznie sztuka się posługuje i poza które nie wychodzi. Określenie przeto formy w sztuce, jako „zespołu fizycznych środków artystycznych“ nie jest zbyt ogólnikowe, bo ma pod sobą bity i ograniczony grunt konkretu, a przytem jest wyczerpujące, bo ogarnia sobą wszystkie w formie sztuki istniejące środki, siły i zjawiska.

Teraz dopiero, po ścisłem określeniu treści i formy w sztuce, możemy przejść bezpiecznie do innych zagadnień artystycznych, a przedewszystkiem do wzajemnego stosunku treści i formy w sztuce. O czem pomówię w szkicu następnym.

ST. PIEŃKOWSKI

Z cyklu: MÓJ ŚWIAT

FUJAWICA

FIU! fiu! fiu!
Świszcze fujawica,
Świszcze polem, świszcze lasem,
Wydymuje lica.

*

Biczysko ma w ręku
Ta potwora naga
Pluje światu w błędne oczy
I dżdżami go smaga.

*

Dobiera się do niej
Słońce zachodzące,
Lecz, pokonać jej nie mogąc,
Ginie, z gniewu wrzące.

*

Ginie, mdleje, gaśnie
W dalekiem jeziorze,
Rozkrwawione, że się więcej
Zmagać już nie może.

*

Fiu! fiu! fiu!
Świszcze fujawica,
Świszcze polem, świszcze lasem,
Wydymuje lica.

*

Łapą strzępi smreki,
Rozrzuca ich czepce
I po chamsku w złej zawiści
Bujne owse depce.

*

Z dachów zrzuca gonty
Wściekle i zaciekle,
Z rozkiełzanej rżą radości
Wszyscy czarci w piekle.

*

Osypuje śniegiem
Wierchy i przełęcze,
W dali tęcza się rozpala,
Ona gasi tęczę.

*

Ogień nieci w lesie,
Zamienia go w zgliszcze
I przez resztki zżółkłych zębów
Świszcze, świszcze, świszcze.

*

Za nią, jak szalona,
Rwie się ludzka dusza,
Aż z litości Pan Bóg cicho
Wargami porusza.

*

A być może szydzi
Usty milczącemi,
Że powicher jakiś lichy
Wyrywa się z ziemi.

*

Fiu! fiu! fiu!
Świszcze fujawica,
Świszcze polem, świszcze lasem,
Wydymuje lica.

SZUM WODY

JA nie wiem, czy człek jest na świecie,
Coby tak lubił szum wody,
Jak ja go lubię. „O, człeku,
Jesteś z chełpiszów trzody!

Pyszałkiem jesteś, choć niby
Ciągle się ćwiczysz w pokorze,
Jeśli się chwalisz, że nikt tak
Szumu miłować nie może“.

*

Czy tak, czy owak, niech będzie —
Przecież, z pokory, czy z dumy,
Powtórzę, iż chyba nad wszystko
Lubię te wody szumy.

*

Dodam to jeszcze, że dla mnie
Są obojętne ich moce:
Wszystko mi jedno, czy potok
Huczy, czy ledwie bełkoce.

*

Dawniej sądziłem, że tylko
Ocean rozhukany,
Lub też alpejskie kaskady
Zmieniają duszę w organy.

*

Dawniej sam ja też szumiałem,
Jak rozszalała fala,
Rozprawiająca się z Bogiem,
Który jej słuchał—zdala.

*

Dzisiaj—ha, może to życie
Już całkowicie jest marne —
Nie troszczę się wcale o to,
Jak ja szum wody ogarnę.

*

Czy tak on płynie, czy owak,
Pod mą skrzypiącą kładką,
Powtarzam za nim swój pacierz,
Jak pacierz za panią—matką.

*

Czasami, kiedy tak siedzę
Na kładce, wpółnieprzytomnie
Wpatrzony we wodę, przechodzi
Ktoś ze sąsiadów koło mnie.

*

Pozdrowi i pójdzie dalej,
Troszeczkę jak gdyby zdumiony,
Że można tak łowić bezmyślnie
Te bełkotliwe tony.

*

Czasami Pan Bóg—Staruszek,
Pędzący przed sobą kawki
Na krótką zatrzyma się chwilę
Około mojej ławki.

*

Usiądzie przy moim boku,
Uściśnie mnie lekko za ręce,
A oczy jego, jak gdyby
Kąpały się w jakiejś podzięcie.

*

„Ha, Panie Boże! Ponadto
Już mi dziś nic nie potrzeba
Lecz, jeśliś tak łaskaw, niech słońca
Nie skąpią mi twoje nieba“.

*

Tak rzekłem mu kiedyś siedzący
Nad mym szemrzącym potokiem,
I odtąd wciąż na mnie słońce
Patrzy swem złotem okiem.

Więc obojętne jest dla mnie,
Czy takie, czy inne są moce
Mego potoku, czy huczy,
Czy też zaledwie bełkoce.

WRONY

KRACZĄCE przeraźliwie
Wrony dziś dach nasz obsiadły:
„Co to ma znaczyć? Nie wiecie?“
Pyta się Strach pobladły.

*

Ni w pięć, ni w dziewięć przedenmą
Zjawił się niespodzianie;
To mrowiem mi chodzi po krzyżach,
To głaszcze po kolanie.

*

Ej, gdzie go nie ma na świecie?..
Panuje zbyt samowładnie
Ten głupi Lęk, drwiący z człeka,
Skoro go tylko opadnie.

*

Wcale się tego nie wstydzę,
Że jest coś z tchórza we mnie,
Ha! niema nawet rycerza,
Któryby nie drżał daremnie.

*

Sam Przestrach, taki odważny,
Gdy z ludźmi ma do czynienia,
Zna przecież chwile, że całkiem
W naturze swej się zmienia.

*

Gdy stoi w pustem polu,
W południe pośród rżyska
Pyta się, czemu to słońce
Spokojnie świeci, nie błyska?

*

I tak się tem przejmuje,
Że z miejsca się ruszyć nie zdoła,
Jeno, jak gdyby zamarły,
Patrzy bez ruchu dokoła.

*

Albo, gdy na przecznicy —
Chłop ją „przyśnicą“ zowie —
Usiądzie dla wypoczynku,
Zapatrzon w zblakłe pustkowie:

*

Z rozkraczonemi nogami
Siedziałeś nieraz, o Lęku,
W nędznej sukmanie na plecach,
Z wierzbowym kosturkiem w ręku.

*

Patrzałem ci nieraz w oczy
Z obojętnością człowieka,
Który się nigdy nie pyta,
Co go tam jeszcze gdzieś czeka.

*

A dzisiaj, o śmieszne wrony,
Niesamowite wrony!
Słucham waszego krakania
Niepewny i przelękniony.

*

A jedna w tem przecież jest pewność:
W tej waszych wrzasków powodzi
Omglona kąpie się zima,
Która już na mnie przychodzi.

JAN KASPROWICZ

GENEZA „ZYGMUNTA PODFILIPSKIEGO"

(Urywek pamiętnika literackiego)

NIE będę zajmował publiczności rozstrząsaniem moich wierszy dziecinnych, których nikt nie zna, ani młodzieńczych utworów satyrycznych wierszowanych dla użytku kolegów gimnazjalnych i uniwersyteckich. Nie należą one do literatury. Zwalniam też czytelników od przeglądu pierwszych mych artykułów *e tutti quanti*, drukowanych po akcie chrztu literackiego, czyli po objęciu redakcji „Bibljoteki Warszawskiej" od 1 stycznia 1891 roku. Miałem podówczas lat trzydzieści i słabe jeszcze przygotowanie na redaktora w większym stylu. Że „Bibljoteka" ruszyła odrazu żwawo naprzód i rozwinęła się pomyślnie — zasługa w tem główna Djonizego Henkiela, któregom na mentora swojego i kierownika pisma zaprosił. O tym bezimiennym pisarzu, czystym patrjocie, inspiratorze dzieł dobrych, a czasem słynnych, nieraz tu jeszcze wspomnę.

Rok 1891 urzędowego zapisania się do cechu literatów jest mi pamiętny z powodu innego jeszcze szczęśliwego pomysłu. Pod jesień wybrałem się w samotną podróż po Grecji, najpiękniejszą w życiu mojem podróż, której nikłe wspomnienie zostawiłem w „Dzienniku z podróży po Grecji", drukowanym w „Bibljotece Warszawskiej", następnie w broszurze odbitej tylko w 300 egzemplarzach. Jest to z owej epoki jedyne moje dziełko godne jeszcze przeczytania, ze szczerych głębi lirycznych płynące i dostrojone stylem do przedmiotu. Ale i o tem dłużej mówić nie będę. Przechodzę odrazu do książki, napisanej w r. 1896, opublikowanej w następnym, która mój dotąd problematyczny tytuł polskiego pisarza potwierdziła ostatecznie — do „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego".

Ażeby jednak wyjaśnić genezę tej książki potrzebny tu dłuższy ustęp pamiętnikowy, a nawet autobiograficzny.

Od wczesnego dzieciństwa pełen byłem zapału i czci dla powołania pisarza, które wydało mi się raczej kapłaństwem, niż karjerą. Obcowałem bowiem z mistrzami dawnymi przez czytanie ich dzieł, nie miałem zaś w swem pobliżu literatów żyjących, nie rychło poznałem krzątania i swędy kuchni literackiej. Jedynym towarzyszem mych lat najmłodszych, usposobionym tak, jak ja, do literatury, był brat mój cioteczny Konstanty Marja Górski, misterny poeta w duszy, nie wypowiedziany nigdy w proporcji do swego świetnego przygotowania literackiego i przedwcześnie zgasły. Wychowywano mnie też wcale nie na literata, choć ceniono we mnie poszlaki talentu, lecz na jakiegoś mniej więcej wykształconego „obywatela", co w języku ówczesnym znaczyło: zamożnego szlachcica ziemianina. Z rozpędu tego systemu zapisałem się do uniwersytetu w Dorpacie na wydział prawny, stosowny podobno do stanu obywatelskiego, zamiast studjować raczej filologję, sanskryt, gramatykę porównawczą, któreby mi tyle przysług mogły oddać w późniejszem życiu! To też traktowałem „prawo" bardzo niedbale, studjując pilniej wybujałe życie burszowskie w niemieckim podówczas Dorpacie, upajając się obyczajami minjaturowej, wolnej republiki studenckiej, w której nasza korporacja („Konwent polski") grała też niepoślednią rolę. Opis barwnych tych przeżyć nie należy do obranego tutaj przedmiotu. Ale nie złorzeczę bynajmniej tym czterem latom niemal straconym dla nauki, lecz bogatym w doświadczenia towarzyskie, a nawet społeczne. Jednak przygotowanie moje literackie nie zyskało nic z teorji, wzięło zaś z życia stos doświadczeń, niepodobnych do mych wrażeń dziecięcych, ale cennych może głównie dlatego, że były silne i nowe.

Powróciwszy do kraju, osiadłem w odziedziczonym pieknym majątku ziemskim, stałem się „obywatelem" według utartego typu, bez technicznego przygotowania do nowego zawodu, ze wszystkiemi konsekwencjami, wynikającemi z zasadniczego ominięcia swego naturalnego powołania. Był to bezwarunkowo najbardziej jałowy okres mego życia. Jako dorobki umysłowe z owych czasów mogę zanotować tylko tyle, że zgromadziłem piękną bibljotekę i zbiory przedmiotów sztuki, że dużo czytałem i przyglądałem się pilnie tłumom i indywiduom ludzkim. Ale moje projekty pisarskie, niegdyś apostolskie, następnie artystyczne, wpadły wówczas w stan odrętwienia, czasem aż bolesnego. Nie wyrzekałem się ich, lecz wątpić zaczynałem o możności urzeczywistnienia. Z lat 1883 do 1890 nie mam nic godnego okazania z mojej produkcji literackiej.

Z tej nędzy moralnej wyrwało mnie objęcie redakcji „Bibljoteki Warszawskiej", nowo zawarta przyjaźń z Henkielem, podróż do Grecji i inne nastroje, które mi duszę orzeźwiły i skierowały ku celom dawno mi świtającym. Nie odrazu przyszły mi do głowy sformułowane pomysły dzieł większych, lecz odżyła ta rozkoszna, znana każdemu urodzonemu pisarzowi żądza i potencja tworzenia. Ograniczając się do oddawania drukarni drobnych pism, długo planowałem dzieła duże, zaduże zwykle i niewykonalne, porzucałem je, śniłem o innych. Rzeczywiście śniłem, a miewam sny prawie co noc, najczęściej niedorzeczne, czasem zupełnie zdatne do przerobienia na utwory literackie.

Redagowanie pisma zatrzymywało mnie na stalszy, niż dotychczas, pobyt w Warszawie. Nie będę udawał, że tylko to poważne zajęcie więziło mnie w mieście. Owszem — mnóstwo pobudek lekkomyślnych. Tylko już moje życie, rozrzucone w wielu kierunkach, opromieniała pewność, że będę wcześniej czy później pisarzem niepoślednim. Ten promień nadziei uszlachetnił nieco wędrówki przez różne sfery i różne zabawy, w których towarzyszyli mi przeważnie ludzie dość mierni. W ostatnim dziesiątku przeszłego stulecia spotykałem się najczęściej z tak zwanym ongi „wielkim światem".

Arystokrację rodową znać było jeszcze podówczas w życiu społecznem kraju, choć rola jej znacznie zdrobniała, a nie zmniejszyły się pretensje do hołdów, rzekomo należnych za zasługi przodków. Warstwa ta, dobiegająca kresu historycznego istnienia, miała dużo cech i osobliwości ciekawych dla ludzi, usposobionych spostrzegawczo. Jej przywary, bynajmniej nie gorsze od przywar innych warstw, dostarczały żeru demagogom i autorom operetek, wogóle tłumowi zazdrosnych raczej, niż patrjotów. Ale tkwiły w niej i pierwiastki sympatyczne: dziedziczna estetyka, kultura towarzyska, a nawet tu i owdzie zdarzały się umysły wyższe, choć zniechęcone do czynu w nowych warunkach politycznych i społecznych.

Nie walczyłem zasadniczo z arystokracją—naprzód zapewne dlatego, że miałem wśród niej krewnych i przyjaciół — ale bardziej jeszcze z przekonania, że zwalczać jej nie należy. Usuwała się sama z widowni obywatelskiej — aż zanadto — wielkie grzechy, które jej wypominano, były albo bardzo starożytne, albo przesadzone w celach wcale nie chwalebnych. Gdy nasi Katonowie do procesu wytaczanego dzisiejszej arystokracji włączali ciągle jeszcze proces o Targowicę, jakżeby przed ich sądem wypadł proces chłopów, gdyby im pamiętać mniej zamierzchłą rzeź galicyjską? A znowu gdyby zapuszczać się w dawne dzieje, dużo więcej znalazłoby się bohaterów i budowniczych Polski pośród karmazynowej szlachty, niż w innych warstwach.

Jak więc rzekłem, nie miałem dla arystokracji złych uczuć. Główny do niej czułem żal, że nie umiała potwierdzić swych tytułów i pretensyj jakiemś nowożytnem działaniem świetnem i pożytecznem, że zbyt mało dbała o czynny udział w życiu narodowem, że stawała się niby egzotyczną, cieplarnianą florą, nie zanurzoną w grunt swojski, jakąś koterją illuzorycznie wywyższoną ponad własną ojczyznę, grupą grawitującą raczej do podobnych grup obcych i łączącą się z niemi dla wspólnych interesów klasowych. Hasło: „arystokraci wszystkich krajów łączcie się“—nie zostało wypowiedziane, ale istniało w instynktach, w porozumieniach międzynarodowych. To hasło, oprócz, że mi było wstrętne, uważałem za zgubne dla samej arystokracji polskiej, która, tracąc swój charakter narodowy, rychło mogła się przerodzić w ordynarną plutokrację.

Ciągłe obracanie się w tych sferach zaprowadziło mnie naturalnie i do arystokratycznego klubu, którego członkiem byłem przez lat kilkanaście. Ale przymiotnik „arystokratyczny“ nietylko nie wyczerpywał charakteru klubu, lecz był wcale niestosowny. Spotykało się tam sporo członków rodzin historycznych, lecz i bardzo wielu znanych zaledwie z historji tegoż klubu. Towarzystwo miało być doborowe, przyjęcie na członka było trudne, jednak namnożyło się typów ogromnie szarych i parwenjuszów nieco śmiesznych. Klub nazywał się „Myśliwskim“, ale nie miał polowania i nie mieścił w swych murach organizacji łowieckiej. Można powiedzieć, że klub nie był nigdy tem, czem się czuł, ani czem się nazywał. Czuł się w owych czasach czemś wybitnie wyższem, niż dom gry, którym był w istocie. Przykrą jego cechą była duża domieszka Rosjan, gdyż klub założony został niegdyś przez namiestnika Berga dla zaprzyjaźnienia towarzystwa polskiego z rosyjskiem i ponosił konsekwencje jego wstydliwego założenia; roiło się tam od wielkich małych książąt rosyjskich, generał-gubernatorów, wyższych urzędników i oficerków. Stąd też i polityka klubu, ograniczona na szczęście do gawęd, musiała być ugodowa.

Gdybym tu pisał ogólniejszy pamiętnik, nietylko urywki pamiętnikowe dla specjalnego celu, salwowałbym z klubu „Myśliwskiego“ całe szeregi ludzi szanownych, nie jako „sprawiedliwych“ z Sodomy i Gomory, lecz jako przyjaciół z mniej przyjaznego towarzystwa. Warunków z czasów niewoli nie można sądzić bezwzględnie na zasadzie naszej wolnej i niepodległej logiki dzisiejszej. Zapytać jednak mnie kto może, dlaczegom ja się zapisał do klubu tak mało pokrewnego z duchowemi potrzebami polskiego pisarza? Odpowiem bardzo szczerze.

Gdym się zapisywał, nie byłem jeszcze *de facto* polskim pisarzem. Zapisałem się przez sybarytyzm, dla zyskania wesołej kompanji, udziału w komforcie i zabawach; także przez leniwe naśladownictwo, gdyż wielu moich blizkich znajomych uczyniło to samo. Dodać muszę, że byłem stale fronderem przeciw ogólnemu charakterowi instytucji. Ale ten mój krok nieopatrzny udał mi się kapitalnie pod pewnym względem, w tym bowiem klubie zebrałem główne materjały do książki o Zygmuncie Podfilipskim. W pełni zatem wesołych lat klubowych stałem się na serjo polskim pisarzem. Nie potrzebuję dodawać, że zamiar pisarski przyszedł mi *a contrario*, nie z umiłowania przedmiotu, lecz z oburzenia na przedmiot.

Dzieło literackie, które powoli we mnie się składało, wcale różne było od oburzonej reprymandy lub kaznodziejskiej rozprawy. Z lubością artystyczną przyglądałem się niektórym wyrazistszym typom klubowców, chwytałem ich na gorących uczynkach miernoty, zbierałem miody z chwastów. I zasadnicze oburzenie przerabiałem w sobie na rozkosz tworzenia satyry.

Jeszcze mój zamiar niezupełnie był ustalony, gdy pewnego dnia spotkałem, jakby z zewnątrz do mnie przychodzące, treść i formę dzieła.

Wsiadłem na noc do pociągu z Warszawy do Lublina, a po krótkiej drzemce, skoro dnieć zaczęło, patrzyłem na mijające obrazy polskiego poranka, który wydał mi się wyjątkowo pięknym. Zacząłem notować ołówkiem opis widoków i nastroje — i pomyślałem, jak te gorące wyrazy wydałyby się śmiesznemi owym typom klubowym, które obserwowałem. W tej chwili usiadło naprzeciw mnie widmo Zygmunta Podfilipskiego, a ja się przedzierzgnąłem w tego z głupia franta Ligęzę. Zacząłem snuć w myśli podstępne rozmowy z jakimś człowiekiem, który sobie urobił „wyższości“ z misternie ugrupowanych i przenominowanych przywar społecznych i z lekkiej pozłoty kultury zachodniej. Układałem sobie te rozmowy na wzór rzeczywistych, które miewałem w klubie i po za klubem, widziałem kolejno przed sobą to tego, to owego znajomego o pożądanym typie, ale żadnego nie naśladowałem żywcem i w całości, jak mi to później przypisywano wielokrotnie. Mam przekonanie, że żaden żywy człowiek, choćby w stylu najwyrazistszy, nie może być portretowany bez zmian w dziele literackiem. Portret jest zawsze zablady i nadto rozpierzchły do użytku powieściopisarza, którego sztuka zasadza się na doborze cech i rysów charakterystycznych i zmierzających do jednolitego sensu literackiego. Dlatego, jeżelim gdzie użył portretu znajomego indywiduum, to tylko w szkicu i na trzecim planie. Do postaci głównych, mocno i celowo zbudowanych, wzory pojedyńczych ludzi wcale się nie nadają. Chociaż zastrzeżenie to często powtarzałem, pytano mnie uporczywie, kto to jest Podfilipski? Zdarza się to zwykle pisarzom pisarzom powieści spółczesnych. Najbardziej zadziwił mnie jeden list uczonego profesora (wprawdzie nie literatury). Ten mąż, wielce na innem polu zasłużony, prosił mnie, abym mu dał egzemplarz drukowany „Podfilipskiego“ z dopisami na marginesach, z jakich osób realnych zrobione zostały postacie mojej powieści. Takim komentarzem opatrzony egzemplarz obowiązywał się zacny profesor opieczętować i złożyć w wielkiej bibljotece publicznej z nadpisem: „do otworzenia za lat pięćdziesiąt“. Pomimo wdzięczności za tak gorliwe zainteresowanie się moją produkcją literacką, nie mogłem zadośćuczynić prośbie profesora, przedewszystkiem dlatego, że nie umiałbym.

JÓZEF WEYSSENHOFF

(Dok. nast.).

SOSNY...

SOSNY, olśnione blaskiem. sosny złotorude!
Wsparłbym się, jak o bratnią pierś — o waszą korę
I oddałbym, w podzięce za przyjazną złudę,
I siebie i to serce, co jak zachód gore.

Ja, co po miejskich brukach włóczę myśl, jak bronę.
Ja, co nad smutkiem miasta, jak nad własnym, płaczę,
Dla was, dalekie drzewa, miłowaniem płonę,
Gdy mnie dławią goryczy powszednie kołacze.

Armjo lasów, gdzie każdy żołnierz jest chorążym,
Śpieszaj na odsiecz miastu, co ginie w brzydocie!
Śpieszaj, zanim my, nudni dziwacy, nadążym
Do cna wytępić sosny, — i mchy, — i paprocie.

O, lesie polski! Wonny, szumiący, daleki!
Do ciebie, nawet gasnąc, słońce się uśmiecha!
Żywiczny, żywy lesie! Bez ciebie na wieki
I nigdzie ludzka rozpacz nie miałaby echa.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

LIBERUM VETO

Śpiew kosów. — Przywileje parlamentaryzmu. — Nakazy życia. — Fabryka administracji i społeczeństwo. — Po owocach ich poznacie je. — Kurs naukowej organizacji pracy dla dyrektorów kolei. — Lichwa na wsi.

CZYTAJĄC doniesienia gazet o zamiarach rządu „posunięcia oszczędności do najdalszych granic", pytamy zdziwieni, dlaczego on dopiero teraz jest tak mądry, jak my byliśmy przed kilku laty? Przecie nieustannie powtarzaliśmy, jak kosy, śpiewając jedną melodję: przestańcie trwonić, zacznijcie gospodarować oszczędnie! Prawdopodobnie każdy rząd, z wyjątkiem patronów próżniactwa i marnotrawstwa (inaczej zwanych opiekunami pracy i rozbudowy), to rozumiał, ale nie mógł odpopowiednio postępować. Bo u nas jest takie szczególne położenie, że nawet uznanie dla prawd matematycznych zależne jest od chwilowego układu stronnictw. Jeżeli ktoś w Sejmie powie, że kąty w trójkącie są równe dwum kątom prostym, to mu odrzekną, że przyjęcie tej formuły zależy od stanowiska Wyzwolenia, P. P. S., koła żydowskiego, lub jakiejś innej kombinacji partyjnej. Daremnie więc ktoś przedstawiłby najpoważniejsze podręczniki geometryczne; jeżeli którykolwiek klub uchwali zająć stanowisko opozycyjne względem dwóch kątów prostych równych trzem w trójkącie—musi ta prawda upaść w głosowaniu. Jest to jeden z najważniejszych przywilejów nowoczesnego parlamentaryzmu, że gdy on zechce, może mądrość nazwać głupotą, a głupotę mądrością, cnotę występkiem, z występek cnotą. Przywilej ten jedak daje się wykonywać tylko do pewnego kresu i tylko w pewnych warunkach. Życie bowiem, które drwi ze wszystkich sejmów, ze wszystkich klubów politycznych i taktyk parlamentarnych, stwarza od czasu do czasu takie położenie, że te wszystkie sztuczki, manewry i krętactwa tracą swą siłę, że występuje nieugięty i nieubłagany mus, który targa pajęcze siatki, rozbija patyczkowe płotki, burzy piaskowe grobelki i każe wykonywać swoją wolę. Taki wypadek zachodzi obecnie w naszem życiu narodowem, które pod groźbą śmierci państwa mówi do nas językiem powszechnie zrozumiałym: zamknijcie wszystkie kanały i kanaliki marnotrawstwa, przestańcie tuczyć pasorzytów, przerwijcie „rozbudowę", gospodarując rozumnie, uczciwie i praktycznie, jeżeli chcecie, ażeby Polska nie była żebrzącą nędzarką, służebnicą obcej potęgi i dłużniczką obcego bogactwa. Ile razy rząd postanawia spełnić ten nakaz, powstaje t. zw. przesilenie, wywołane przez tych, którzy mają interes w osłabieniu lub śmierci państwa polskiego. Tak dzieje się obecnie. Zwykle rząd zażegnywał burzę ustępstwem, bo nie było w nim dotąd ani jednego Herkulesa, ani jednego człowieka z wielką mocą woli i odwagą czynu, tylko sami kompromisowicze, ludzie przydatni do rozwiązywania węzełków małych, ale niezdatni do rozcinania węzłów wielkich i splątanych.

Niedawno pewien mechanik administracyjny wypowiedział następującą uwagę. Opinja prasy i społeczeństwa o działaniach rządu jest zawsze mylna, bo nie zna jego tajemnic warsztatowych, nie wie z czego, jak i w jakich warunkach on robi. Pozornie uwaga słuszna. A jednakże zwykły spożywca zna wartość sukna lub skóry, chociaż również nie wie, jak ją wyrabiają. Ogół ocenia działania rządu ich skutkami, które są jedynie miarą ścisłą i sprawiedliwą, dlatego się nie myli. Sądząc według tej miary mamy zupełne prawo orzec, że rządowcy naszego państwa gospodarują źle, jeżeli po sześciu latach mamy niedostatek, drożyznę i wydatki niedopasowane do zamożności. Nic nas to nie obchodzi, że jeden dobry zamiar udaremniła ta, a drugi inna partja. Kto się podejmuje przeprowadzić statek przez morze, w którem kryją się skały podwodne i po którem krążą korsarze, powinien znaleźć drogę bezpieczną i uzbroić się przeciwko napastnikom. Jeśli tego zrobić nie umie, niech nie bierze się do steru i pozostanie zwykłym pasażerem lub majtkiem okrętu. Za to dajemy kapitanom władzę, zaszczyty i sławę, ażeby oni wzamian dali nam talenty i zasługi. Za nieudolność nie chcemy płacić tak drogo.

Mniej więcej od czasu ogłoszenia przez Taylora w Ameryce zasad naukowej organizacji pracy wykazywano w naszych pismach, niezagwożdżonych wiekami dyktatury proletarjatu, potrzebę wprowadzenia jej do nas. Przedstawiono w dowodach olbrzymią korzyść z niej zarówno robotników, jak przedsiębiorców i fabrykantów, donoszono, że wszystkie społeczeństwa europejskie nie tylko ją już zastosowały, ale utworzyły dla niej osobne instytucje, założono nawet u nas Ligę pracy — wszystkie jednak te namowy i argumenty nie skutkowały. Najusilniej tamowali ruch w tym kierunku socjaliści, którzy względem wszelkich postępów kultury zachowują się jak dzicy, wierzący lub tylko twierdzący, że ona sprowadza im zgubę. Naukową organizację pracy nazwali „udoskonalonym wyzyskiem" — i basta! Fakt, że przy niej robotnik za mniejszą ilość trudu osiąga wyższą płacę, był na ich szalach puchem a zysk kapitalisty ołowiem. Ale jak kartofle, pomimo oporu i przekleństw ciemnego tłumu, ostatecznie stały się głównym i ulubionym jego pokarmem, tak również idea pracy, opartej na zasadach naukowych, wchłania się nawet w mózgi, zahartowane w ogniu socjalistycznym. Niewątpliwie za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat przestanie ona być „udoskonalonym wyzyskiem". Tymczasem jeszcze jest u nas kroplą, drążącą nieustannem spadaniem. Minister kolei wezwał do Warszawy naczelników 10 dyrekcyj na 34 godzinny kurs naukowej organizacji pracy. Pomysł chwalebny. Wiadomo, że jedną z najgłówniejszych przyczyn naszego ubóstwa, jest słaba wydajność naszej pracy. Pracujemy mało i źle — wszyscy bez wyjątku: urzędnicy, lekarze, artyści, prawnicy, nauczyciele, robotnicy, robotnice. Jesteśmy przysłowiowymi leniwcami z natury, a obecnie nawet z prawa, które krępuje, ściga i karze pracę nad przepisową miarę i otacza troskliwą opieką próżniactwo.

Ale nareszcie i w tej sprawie zabrało głos życie. Dowiodło ono zarządowi kolei, że wszystkie podwyżki taryfy osobowej i towarowej nie pomogą do wyrównania rozchodów z przychodami, że trzeba więcej oszczędzać i lepiej pracować. Nakazu tego nie zmieni ani stanowisko „enperowców" „pepesowców" „chadeków" i innych, tako ślicznie, niby złodziejskim językiem ponazywanych stronnictw, ani orzeczenie konwentu seniorów, ani nawet jednomyślna uchwała całego sejmu. Jakie to szczęście, że życie jest mądrzejsze od nas i że ciągle poprawia nasze błędy! Bez tego korektora i prawodawcy licho wie, dokąd by nas zawiodły pepesówki, enperówki, chadecje i inne—ówki i decje. Tymczasem, jeżeli urzędnicy i robotnicy kolejowi zaczną stosować zasady naukowej organizacji pracy a za niemi inni — możemy sobie śmiało śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła".

Nie wiem, czy minister skarbu i jego doradcy finansowi często przebywają na wsi i przypatrują się bezpośrednio jej stosunkom. Jeżeli to robią, muszą mieć bardzo złe sny o podatku majątkowym i o kredycie ludowym. Życie bowiem okazało już dowodnie, że włożenie olbrzymiego ciężaru na barki małej części producentów rolnych (właścicieli ziemi wyżej 25 morgów) przechodzi ich siły, że wymaganie, ażeby kilkunastowłókowy majątek zapłacił dziesiątki tysięcy złotych, nawet rozłożonych na raty, nie tylko nie da żądanego rezultatu, ale zrujnuje zupełnie gospodarstwa folwarczne. Fiskułowie nasi dowiedzieli się również, że najniższą stopą procentową w prywatnych pożyczkach miejskich jest 60 od sta, a nieraz nawet 300!

Tak wygląda kraj, gdy jego rządcy wpatrują się głównie w barometr walutowy. ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

NIEZROZUMIAŁE UKONTENTOWANIE

NA drugi dzień po zakończeniu konferencji w Locarno wybuchła w całej prawie prasie polskiej niezwykła radość, tak że do jej wyrażenia zwykły styl dziennikarski okazał się niewystarczający i trzeba było uciec się aż do obrazów poetycznych o jasnem słońcu, wschodzącem niespodziewanie po chmurnym, zdawałoby się, poranku. Radość ta jest tembardziej zastanawiająca, że ukazuje się w całem tego słowa znaczeniu na kredyt i to na kredyt urzędowej agencji telegraficznej, a więc źródła, które dotychczas zbyt wielkim kredytem się nie cieszyło.

Dzień przedtem urzędowa agencja donosiła, że prawnicy zainteresowanych państw pracują usilnie nad tem, żeby znaleźć taką „formułę", która nie naruszałaby istniejących traktatów, a była jednocześnie do przyjęcia dla Niemców. Jak owi prawnicy dokazali tej sztuki, skoro dla Niemców „nie do przyjęcia" jest właśnie istota obowiązujących traktatów, o tem przekonamy się niebawem; z góry jednak powiedzieć można, że studjowanie tekstów może sprawić radość jedynie koneserom djalektyki prawniczej. Zwykły śmiertelnik wie, bez filozoficznego zagłębiania się w teksty, co znaczy akt, podpisany w Locarno. Półroczna dyskusja prowadzona na łamach pism całego świata, pouczyła wszystkich dostatecznie o tem, czego Niemcy pragną, a czego niektórzy sprzymierzeńcy wahają się im przyznać. Skoro zaś p. Briand, ściskając na pożegnanie serdecznie dłoń p. Stresemanna, powiedział, że ma nadzieję, iż teraz słowa staną się czynami, to wszyscy już wiemy, że Niemcy otrzymały, jeżeli nie wszystko, to lwią część tego, do czego dążyły.

Z Niemców zdjęto znowu część więzów, nałożonych przez traktat wersalski. Udzielono im oficjalnie przebaczenia za wojnę, puszczono winę w niepamięć, zgodzono się traktować ich narówni z dawnymi towarzyszami broni, jednem słowem przywrócono do czci i udziału w radzie narodów. Czy uczyniono to w odpowiedniej chwili, czy Niemcy istotnie „skruszały"? Na to odpowiada fotografja z uroczystości odsłonięcia pomnika żołnierzy z pułku grenadjerów gwardji „Kaiserin Auguste", przy której to okazji b. komendant armji nad Sommą gen Sykstus v. Arnim wypowiedział słynną już dzisiaj mowę. Pomnik nosi, jak wiadomo, napis: „z kości naszych powstanie mściciel", a na fotografji można widzieć, jak przed Hindenburgiem i jego świtą w pikelhaubach defilują sprawnie czwórkami ludzie cywilni, dawni żołnierze tego pułku, a więc lud niemiecki. Widok bardzo pouczający.

Można nie nadawać zbyt wielkiego znaczenia traktatom, można być zdania, że żadne traktatowe więzy nie są w stanie obezwładnić agresywnego a żywotnego narodu, ale jak można wybuchać radością na stwierdzenie faktu, że właśnie Niemcy udowodniły tę tezę, — pozostanie niezrozumiałe. Skąd płynie to natchnienie dla prasy warszawskiej, podlegającej natchnieniom? P. minister Skrzyński po podpisaniu protokółu genewskiego oświadczył dziennikarzom w Warszawie, że ludzkość czekała 2000 lat na podobną chwilę. Entuzjazm godny szacunku w swej świeżości. Lecz czy podobna przenosić ten entuzjazm na akt, który stwarza pewnego rodzaju gwarancję pokoju na zachodzie, kosztem osłabienia zabezpieczeń na wschodzie, czyli naszym własnym? Jest to chyba szczyt altruizmu! CZK.

LAMPKA GÓRNICZA

NA konferencji krajowej Związku Ludowo-Narodowego najsilniejsze wrażenie wywarł na mnie moment, gdy poseł Falkowski składał prezesowi R. Dmowskiemu, w imieniu delegacji górników Zagłębia Dąbrowskiego — „raport". I w tonie przemówienia i w postawie górników, przybranych w swe oryginalne stroje — ciemne bluzy, okrągłe czapki, zdobne w barwny pióropusz — było coś dzielnego, żołnierskiego.

— W trzydziestoleciu naszego kierunku—mówił p. Falkowski metalicznym, dźwięcznym głosem — przychodzimy tu, przedstawiciele najmłodszej dziedziny pracy wszechpolskiej, świeżo powstałej organizacji zawodowej „Pracy Polskiej", by Ci oznajmić, iż ożywieni pragnieniem odbudowy gospodarczej kraju, postanowiliśmy zwiększyć wytwórczość naszą.

— Dziś 27,000 kilofów górniczych kuje w podziemiach polskich o godzinę dziennie dłużej, by podnieść naszą produkcję i wzmódz nasze siły gospodarcze...

Na znak hołdu, mówca w imieniu delegacji ofiarował R. Dmowskiemu lampkę górniczą.

Grzmot oklasków pokrył to przemówienie.

Był on wyrazem głębokiego wzruszenia, jakie ogarnęło salę.

— — — — — — — — — — — —

Skromna lampka górnicza, ofiarowana przywódcy wielkiego stronnictwa, które ma poza sobą trzydzieści lat historycznego dorobku politycznego, wyrasta do rozmiarów symbolu.

W labiryntach ciemnych przejść niewesołej teraźniejszości naszej, jej nikłe światełko ukazuje drogę wyjścia ku jasnym dalom słonecznej przyszłości.

— — — — — — — — — — — —

W Zagłębiu Dąbrowskiem odbyła się — rewolucja. Nie było tam wprawdzie barykad, nie lała się krew, trupy nie walały się po ulicach.

Niemniej jednak, jeśli rewolucją jest obalenie „istniejącego porządku", zdeptanie praw i przepisów obowiązujących, to w Zagłębiu Dąbrowskiem istotnie zaszedł przewrót rewolucyjny. Górnicy obalili „porządek istniejący", przy którym pracowali faktycznie siedem tylko godzin, zdeptali prawa i przepisy, zakazujące im pracować dłużej ponad te normy.

Podnieśli bunt niekrwawy przeciwko organom władzy państwowej, kierowanym przez socjalistycznego doktrynera; zbuntowali się przeciwko urzędowym nakazom próżniactwa, nie ulękli się partyjnego terroru, ani gróźb urzędowych.

— Grożono nam więzieniem, socjaliści grozili, że głowy porozbijają nam kilofami — opowiadał mi jeden z górników. — Nie ulękliśmy się ani gróźb inspektorów pracy, ani terroru socjalistycznego.

To, co się stało w Zagłębiu, jest jedynym bodaj w dziejach ruchu robotniczego przykładem buntu robotników przeciwko władzom legalnym, nie pod hasłem skrócenia, ale pod hasłem przedłużenia dnia roboczego, nie dla podwyższenia zarobków, ale dla podniesienia produkcji, wzmożenia sił gospodarczych Państwa. Tego rodzaju zjawiska nie jest zdolna objaśnić ani zrozumieć żadna socjalistyczna mózgownica, nafaszerowana ewangelją walki klas i materjalistycznego pojmowania dziejów.

Zrozumie je natomiast łatwo każde polskie serce, które pod bluzą górników takież polskie serce odczuje.

W robotniku polskim przemówił znowu głos instynktu narodowego, który mu mówi, że jego dobro jest tylko cząstką dobra całej Ojczyzny.

Światełko lampki górniczej ukazuje nam drogę wyjścia z ciemnych labiryntów chwili obecnej.

Droga to prosta i jasna: niech każdy z nas pracuje o godzinę dłużej, niż dotychczas, by podnieść naszą produkcję i wzmódz nasze siły gospodarcze.

AES.

TAJEMNICZE PRZYCZYNY TAJEMNICZYCH NIEDOMÓWIEŃ

PUŁKOWNIK prof. Wacł. Tokarz w swej świeżo ogłoszonej pracy p. t. „Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa“ daje na podstawie nowych źródeł dokładny obraz zajść tej pamiętnej nocy, ustalając fakty aż do najdrobniejszych szczegółów. Prof. Tokarz ze znajomością rzeczy, cechującą wszystkie jego prace— wyzyskał tu cały szereg materjałów nieznanych dotąd zupełnie, między innemi szereg zeznań oficerów i żołnierzy polskich przed Komisją Śledczą, dając naprawdę jasne i szczegółowe przedstawienie zajść, nazwą nocy listopadowej objętych.

Inaczej rzecz się ma z przygotowaniem „nocy listopadowej“, to znaczy z faktami, które mają odpowiednik w tytule, w słowach: „Sprzysiężenie Wysockiego“. Na te fakty książka prof. Tokarza nie rzuca dostatecznie jasnego światła, chwilami nawet, wbrew woli autora, może wprowadzić w błąd czytelnika co do ośób i ich zamiarów.

Prof. Tokarz genezę sprzysiężenia ujmuje w sposób następujący: rewolucji Królestwo nie chciało, chcieli jej tylko młodzi romantycy, i gdy 30-letni podporucznik Wysocki zawiązał sprzysiężenie, trafił na podatny grunt. Piotr Wysocki, gorący patrjota, tępego umysłu, choć bardzo pracowity, bardzo dobry subaltern lecz kiepski dowódca pułku, bezbronny politycznie, ulegający łatwo wszelkim wpływom, zato bezinteresowny, zorganizował spisek, mający dokonać zamachu stanu. Spisek ten był organizacją apolityczną, nie roszczącą pretensyj do politycznego kierownictwa, organizacją niesamodzielną, co prof. Tokarz stwierdza z całą stanowczością, dodając, że Wysocki „był to człowiek kierowany stale przez innych, stanowiący ich narzędzie“.

Stąd prof. Tokarz wyciąga wniosek, że zupełnie zbyteczna jest ocena politycznych celów organizacji niesamodzielnej, zależnej od innej organizacji. Zależność zaś sprzysiężenia Wysockiego od tej organizacji kierowniczej ginie w mroku tajemnicy.

Prof. Tokarz mówi, że podporucznik Piotr Wysocki z inicjatywy „najprawdopodobniej“ epigonów Towarzystwa Patrjotycznego stworzył w Szkole Podchorążych Piechoty nowe sprzysiężenie. „Epigonami“ tymi mieli być: Roman Sołtyk, Franciszek Trzciński, Walenty Zwierkowski, Joachim Lelewel, Gustaw i Juljusz Małachowscy, Adolf Cichowski i inni. Dodaje też, iż „pozostawali oni niewątpliwie w stosunkach organizacyjnych ze sobą; odbywali swe zgromadzenia, utrzymywali związki z zagranicą i między prowincjami rozszarpanej Polski“. Dalej zaś mówi tylko o sprzysiężeniu Wysockiego, będącem technicznym wykonawcą woli owych „epigonów“, zorganizowanych i utrzymujących stosunki nietylko z całą Polską ale i z zagranicą. O roli tych „epigonów“ mówi autor w sposób zagadkowy i tajemniczy, tak że chwilami niewiadomo, czy chodzi o Lelewela, czy o Czartoryskiego, bo i ten miał „skrycie obiecywać pomoc Towarzystwu Patrjotycznemu“. Dowiadujemy się tutaj o istnieniu jakiegoś dawnego i nowego związku, o jakiejś organizacji Zaliwskiego—jednem słowem cele i środki działania politycznego organizacji kierowniczej, a przez to sprzysiężenia Wysockiego, ustalał jakiś czynnik niewiadomy, przyczem jedyną wiadomą tajemniczego równania są przebłyskujące od czasu do czasu na tle „epigonów“ Towarzystwa Patrjotycznego osoby: Lelewela, Zwierkowskiego, Sołtyka, Bronikowskiego i innych.

Prof. Tokarz w określaniu tego tajemnicze czynnika jest niezwykle ostrożny—być może ostrożność tę dyktuje mu brak źródeł, jasno stawiających sprawę kierownictwa zamachem. Ile razy dotyka tej sprawy, zawsze w zdaniach umieszcza jakieś „podobno, rzekomo, prawie na pewno...“,—pozostawiając domyślności czytelnika, co pod tem rozumieć należy. Być może—powtarzam—powoduje tę ostrożność brak źródeł... Tymczasem na sprawę owego nieznanego czynnika mogłyby może rzucić pewne światło osoby np. Zaliwskiego lub Lelewela, na których czytelnik mimowoli się zatrzymuje, słysząc o jakiejś organizacji Zaliwskiego (str. 31) lub czytając, że Lelewel wyprawiał emisarjuszy związku do prowincyj zabranych. Zaliwski odegrał rolę kierowniczą w zamachu 29 listopada, to też organizację jego należałoby potraktować conajmniej na równi ze sprzysiężeniem Wysockiego, jeżeli już nie bierzemy pod uwagę jego przechwałki, że miał dwustu oficerów, kiedy Wysocki rozporządzał zaledwie trzydziestoma. Gdyby autor nie tak skąpo odmierzał wiadomości o Zaliwskim, kto wie, czybyśmy nie mówili wtedy o sprzysiężeniu Zaliwskiego, spychając Wysockiego do tej roli, jaką w rzeczywistości spełniał, to jest do roli podrzędnego wykonawcy. Jednak autor, kierując się pietyzmem dla wersji, uświęconej tradycją, wolał pójść utartym szlakiem, który to szlak ucierał zresztą nie kto inny, jak właśnie owi „epigonowie“...

W pracy prof. Tokarza działalność poszczególnych „epigonów“ wygląda jakby na opowieść o dobrodusznych opiekunach, wujaszkach, hamujących rozgorączkowaną i rwącą się do czynu młodzież, czasem skierowujących ich zapędy w odpowiednim kierunku, czasem przyłożeniem ręki popychających sprawę naprzód, ale zawsze nieznacznie, niewidocznie, dyskretnie, ostrożnie. Mówię o działalności poszczególnych, gdyż nigdy nie można między nimi ustalić związku i pojedyńczo też występują w organizacji Wysockiego, jako jej członkowie.

Być może, że takie wrażenie z działalności „epigonów“ odnosili współcześni, owi podchorążowie, których rękoma podporucznik Wysocki miał przeprowadzać zamach stanu. Teraz jednak możnaby już uchylić rąbka zasłony, kryjącej przygotowanie rewolucji 29 listopada. Zasłonę narzucili społeczeństwu polskiemu właśnie ci „epigonowie“, za nimi zaś epigonowie „epigonów“ w dalszym ciągu rozprzestrzeniali i utrwalali legendy o genezie powstania listopadowego. Ale dziś możnaby już otwarcie postawić zagadnienie, kto właściwie ustalał cele i zadania rewolucji i kto ponosi odpowiedzialność za noc 29 listopada i za to, co po niej nastąpiło. Po co te niedomówienia, skąd się wzięło to nagłe zatrzymanie się badacza u wrót, wiodących ku wyjaśnieniu tajemicy? I czemu to wstydliwe omijanie wyrazu, który jednak wiele mógłby wyjaśnić, skąd ten lęk przed wprowadzeniem do swych rozważań słowa i pojęcia: masonerja?

Prof. Tokarz w części choć sprostował legendę, stwierdzając ponad wszelką wątpliwość, że sprzysiężenie Wysockiego było organizacją niesamodzielną. Lecz stwierdzenie to pociągało za sobą konsekwencje. Prof. Tokarz winien był wobec tego omówić cele i zamiary organizacji kierowniczej. Wytrawność sądu prof. Tokarza, ujawniająca się w ustaleniu i ocenie pewnych szczegółów, wyklucza przypuszczenie, aby tego nie rozumiał. A jednak przedmiotu tego nie poruszył, ograniczając się do omówienia technicznej strony zamachu, nie wypowiedział zdania, kim byli owi zagadkowi „epigonowie“, skąd się wzięli, jaka organizacja ich łączyła. Prawdopodobie prof. Tokarz nie ma jeszcze w tej sprawie ustalonego poglądu, ale w takim razie ogłaszanie w tej formie badań nad sprzysiężeniem uznać trzeba bodaj za przedwczesne, gdyż nietylko nie przyczyniają się one do wyjaśnienia, kto ponosi odpowiedzialność za „noc listopadową“, ale przeciwnie powiększają jeszcze zamęt szeregiem niedomówień.

DECIMUS HASTATUS

PRZEGLĄD POLITYCZNY

KONFERENCJA KRAJOWA ZW. LUD.-NAR.

CZŁOWIEK „bezpartyjny“ w Polsce nie ma zwyczaju zastanawiać się nad oceną poszczególnych stronnictw, ani też nad oceną zasług ludzi, do stronnictw politycznych należących. Przeświadczony jest zgóry, że wszystkie stronnictwa są jednakowo dobre, a raczej jednakowo złe, że w żadnej sprawie jedno z nich nie może mieć ani całkowitej słuszności, ani bezwzględnej, objektywnej zasługi. Powiedzieć mu, że np. któryś wybitny narodowy demokrata jest zdania, iż po nocy dzień następuje, a po dniu noc; odpowie natychmiast: „No tak, oczywiście... Ze swego punktu widzenia ma on najzupełniejszą słuszność... Ale w każdym razie jest to pogląd jednostronny.“

Dla ludzi tego typu — a ten sposób myślenia jest wcale szeroko rozpowszechniony — „partja“ wyrasta do jakichś rozmiarów olbrzyma, którego cień zasłania zarówno ludzi, co ja tworzą, jak i wielkie prądy ideowe, których jest wyrazem. Ponieważ ruch wszechpolski przejawił się między innemi w zorganizowaniu stronnictwa demokratyczno-narodowego, przekształconego później na Związek ludowo-narodowy, ludzie ci do dziś połapać się nie potrafią, czem ten ruch jest i na czem polega historyczne jego znaczenie. Nie rozumieją, że był on wyrazem tego, co Wyspiański określił słowami: „w całej polskiej naturze przemiana“, że był prądem rozbudzenia się wielkich ambicyj narodowych, którego wpływ sięgnął daleko poza stronnictwo i poza politykę wogóle, na całe polskie życie.

To też i konferencję krajową Związku ludowo-narodowego, zwołaną w trzydziestolecie założenia „Przeglądu Wszechpolskiego“, wielu napewno uważać będzie za przejaw wewnętrznego tylko życia partyjnego i o tyle zainteresuje się jej przebiegiem, o ile dojrzy w niej wzrost lub osłabienie wpływów i siły organizacyjnej stronnictwa. A tymczasem nie na tem bynajmniej polega jej znaczenie najistotniejsze. Może być, iż wypowiedziane na konferencji słowa Dmowskiego: „nie chodzi nam ani o utrzymanie kapitalizmu, ani o obalenie kapitalizmu, ale o to, aby Polska była“, niejednego zniechęcą, może innych znowu zbliżą do obozu, na który dotąd zawsze spoglądali z nieufnością. Ale nie o rezultat agitacyjny tu chodziło, ani o posunięcie taktyczne i nie te względy o znaczeniu konferencji stanowiły. Faktem ważnym w życiu narodowem (nietylko w życiu stronnictwa) była ona dlatego, że stała się wyrazem twórczości polskiej w dziedzinie polityki, wyrazem myśli twórczej, oryginalnej, nie z obcych naśladowanej wzorów, szukaniem i wskazywaniem nowych dróg i nowych polityki polskiej zadań. Przemówienie Romana Dmowskiego, ujmujące dzisiejsze położenie Polski na tle ogólnego kryzysu światowego i zbliżających się zmian i przewrotów, referat prof. Rybarskiego, formułujący najogólniejsze zasady narodowego programu gospodarczego — to są dziś w dziedzinie polskiej myśli politycznej wydarzenia, których nikt, sympatyk czy wróg polityczny, pominąć ani zlekceważyć nie może.

Życie polityczne w Polsce jest w stanie głębokiego upadku. Po Sejmie włóczą się cienie wczorajszych stronnictw, żyjących nie resztkami już, ale wspomnieniami dawnych, często przedwojennych, programów, niezdolne do jakiejkolwiek pracy, jakiegokolwiek w dziedzinie twórczej myśli wysiłku. Zamiast polityki szerzy się intryga, zamiast programów — coraz nowe „koncepcje zmian personalnych“. W tych warunkach fakt, iż są jeszcze ludzie, pojmujący pracę polityczną, jako twórczość, może mieć wpływ nie na jedno tylko, ale na wszystkie stronnictwa, wyrywając je z atmosfery dotychczasowego bezwładu, drobnych intryg i obrony drobnych interesów, pobudzając do twórczej, programowej pracy.

Oby tak było!

ICN.

WYCHOWANIE NARODOWE

BAŁAMUCTWA PEDAGOGICZNE.

JEŻELI gdzie, to w wychowaniu młodzieży, praca społeczeństwa ma wolne pole współdziałania z usiłowaniami państwa. Państwo nasze ma wielkie zadania, przedewszystkiem musi ono materjał etniczny, odziedziczony po rozbiorach, odpolszczony, zróżniczkowany wiekową uprawą pod obcy zasiew, szybko przerobić na żywioł obywatelski Rzplitej. Państwo i naród ponoszą na ten cel wielkie ofiary, dość wskazać budżet min. oświaty, największy po wojskowym. Jakże to zadanie pojmują sami obywatele, a zwłaszcza sfery wychowawcze?

Weźmy do ręki świeżo wydaną przez „Książnicę-atlas“, a przeznaczoną dla nauczycieli i rodziców książkę „O wychowaniu“ pióra prof. Antoniego Danysza, fachowego pedagoga. W rozdziale „Cel wychowania“ przeprowadza on tę myśl, że cele wychowania określa etyka, a ta jest jedna dla wszystkich ludzi. Stosunek człowieka do społeczeństwa wypływa jedynie z uczucia wdzięczności, wiele bowiem dziecko zawdzięcza „ludziom otaczającym“.

„Jest to więc cel — pisze p. Danysz — ogólnie ludzki, przytem kulturalny, ponieważ człowiek rodzi się przedewszystkiem człowiekiem. Przeciwko temu pojmowaniu podnosi się rodzaj sprzeciwu ze strony tych, którzy chcą wychowanie ścieśnić i ograniczyć do wychowania narodowego. Głosy za wychowaniem narodowem odzywały się przez pewien czas u nas w Polsce w prasie i publicznych przemówieniach. Wychowanie narodowe jest bowiem napozór sympatyczne, jednak przy bliższem rozpatrzeniu dla swej niejasności i nieuchwytności traci na wartości... Istniała podobno kierowniczka żeńskiego zakładu wychowaczego, która unarodawiała wychowanie w ten sposób, że w wyrazie Polska kazała dziewczętom przeciągać samogłoskę (Poolska)“.

O narodowem wychowaniu—utrzymuje p. Danysz— można było mówić w czasach niewoli. Ale i wtedy z zastrzeżeniem, bo niemiecki pedagog zeprzeczający praw polskiemu językowi

„więcej pracował nad utrzymaniem polskiej narodowości, niż tajne związki patrjotyczne... To też nienarodowe wychowanie nikogo nie wynarodowiło“. „Wychowanie narodowe to produkt niezamierzony, który się sam przez się wytwarza z wychowania ludzkiego“. „Wychowanie, któreby ze świadomością chciało się postawić na stanowisku narodowem, a starało się zaprzeć stanowiska ogólnie ludzkiego, mogłoby wiele zdziałać złego. Bo szowinizm narodowy jest zawsze czemś niedobrem i mści się prędzej czy później. Ten bowiem zdolny jest godnie reprezentować swoją narodowość, który umie uszanować narodowości obce“ (145—146).

Czyż my istotnie tak nizko upadliśmy od czasów Komisji Edukacyjnej, że nas nie stać na sensowniejszą formułę celów wychowania? Firma nakładowa, oparta o organizacje nauczycielstwa szkół średnich i wyższych, nie widzi dla siebie ujmy w propagowaniu sprzecznych z pracą państwową zasad wychowawczych, ukutych przez jakiegoś nie umiejącego myśleć po polsku scholastyka, jakby nie było już w Polsce nikogo współczującego z państwem i narodem w wielkich zadaniach wychowania! Prof. Danysz, upatrujący najwyższy produkt wychowania w filantropji, cytujący przysłowia niemieckie, gdy mu po domowemu wypadnie argumentować, nie może się zdobyć w rezultacie na własną formułę i daje w przekładzie program niemiecki Diesterwega, nawet nie spostrzegając, że on przeczy jego własnym płytkim przesłankom.

Ośmielają się dawać programy wychowania Polsce Konarskiego, Staszyca, Kołłątaja, Śniadeckich, Czackiego, Estkowskiego, Trentowskiego, Polsce Szczepanowskiego, Balickiego, Zarzeckiego — ludzie do tego stopnia małoduszni i nie umiejący myśleć o dziejach swego narodu, że gotowi są prześladowcom duszy polskiej przypisywać zasługę odrodzenia narodowego, przynajmniej stwierdzać, że Niemiec „nikogo nie wynarodowił“... A więc chyba żałować wypada tych dobrych czasów, kiedy Polak mógł pałać tylko ambicjami filantropji, a zostawiać obcym troskę o dzieje narodu i trud i koszta... Po cóż nam było walczyć o wolność?!

Jeszcze jedna uwaga. Firma nakładowa dzieł pedagogicznych i podręczników szkolnych „Książnica-atlas“ zdobyła faktycznie przy poparciu władz szkolnych monopol w swoim zakresie. Dla nauczycieli i uczniów jej stempel ma w sobie coś półoficjalnego. Ma ona na usługi kolportażowe po szkołach zastępy nauczycieli. Nauczycielstwo i materjalnie i moralnie jest z księgarnią związane, ono też ponosi za nią odpowiedzialność. Władze szkolne i ministerjalne, otaczające tę księgarnię swoją protekcją, powinny zdobyć wraz z nauczycielstwem jakiś wpływ na charakter wydawnictw tej księgarni. Ona nie ma prawa być posterunkiem „lewicy“. Z jakiej racji Polska ze swojemi świetnemi tradycjami ma spadać, dla przyjemności politycznej jakiegoś niedowarzonego grona działaczy, do rzędu początkujących narodków?

NAUKA I LITERATURA

PAN NA TULCZYNIE

POSTAĆ Szczęsnego Potockiego, jedna z najwybitniejszych w historji polskiej XVIII w., nie doczekała po dziś dzień sprawiedliwego sądu. Poeci, jemu współcześni, zwłaszcza Trembecki, obsypywali go pochlebstwami i uwielbiali, późniejsi zaś, jak Malczewski, Słowacki „idealizowali rzecz pełną mętów i okropności“. Wprost przeciwnie historycy, a nadewszystko tradycja; nie zapomniano mu tego, że był marszałkiem konfederacji targowickiej, ogłoszono go za zdrajcę, człowieka podłego, zbrodniarza. Uczyniono tem krzywdę jego pamięci, a żaden z historyków nie starał się jej naprawić. „Zbadanie ściśle jego czynności, zanalizowanie jego umysłu i duszy, napisanie obszernej monografji o tej postaci jest jednem z zadań naszej historjografji“ — mówi prof. A. Czartkowski w przedmowie do książki, która ma być częściowem zadośćuczynieniem, rehabilitacją „nieszazesnego Szczęsnego“.*) Jest to zbiór najrozmaitszych wiarygodnych wspomnień o panie tulczyńskim, dokonany nader skrzętnie i sumiennie, a dzięki swemu przejrzystemu układowi dający należyte wyobrażenie o tej osobistości. Dowiadujemy się, że miał Potocki wiele zalet: „najlepszy był to mąż, ojciec, współobywatel i pan. Miał szczodrą rękę dla przyjaciół, był władcą bardzo życzliwym i pełnym starań dla dwustu tysięcy swych poddanych, dbał o ich dobrobyt i ludzkie traktowanie, nie pożądał nowych bogactw“. Niesłusznie nazwano go sprzedawczykiem, bo „od Katarzyny nie wziął ani jednego rubla“, a na sejmie 1784 r. sypał hojną ręką ofiary dla ojczyzny. Ojczyznę kochał i pragnął jej służyć; gdy zadraśnięta duma postawiła go w szeregach targowiczan, po pewnym czasie opamiętał się i chciał błąd naprawić. Że miał sumienie, świadczy melancholja, która gryzła go do końca życia. Brakło mu za to siły woli i charakteru, a niekiedy przenikliwości i rozsądku.

Życie jego — to jedna tragedja. Malczewski unieśmiertelnił w „Marji“ dzieje pierwszej jego miłości ku Gertrudzie Komorowskiej; dwa drugie małżeństwa: z Józefiną Mniszchówną i Zofją Greczynką też były nieszczęśliwe. Postać ostatniej upamiętniona została przez męża założeniem słynnego ogrodu, nazwanego Zofjówką.

Liczne potomstwo miał Szczęsny z dwu ostatnich związków — szesnaścioro wymienia tablica genealogiczna, zamieszczona na końcu książki; opowiada zaś o nich część II-ga książki, zatytułowana „Dzieci Szczęsnowe“. Wśród nich spotykamy jednostki zacne (jak np. Róża Branicka, późniejsza teściowa Zygm. Krasińskiego) częściej jednak dziwaków, rozrzutników, a nawet służalców rosyjskich. Niemniej ciekawa jest część III. p. t. „Dwór w Tulczynie, rezydenci, wyjadacze, oficjaliści“. Wśród dworaków tulczyńskich najbardziej zaciekawia nas szambelan-poeta Stanisław Trembecki, autor „Zofjówki“; oprócz znanych szczegółów o starczych dziwactwach tego awanturnika, z warte są tu wzmianki o losach jego puścizny literackiej, z którą postąpiono w sposób wielce barbarzyński. Drugim poetą, wspominanym jeszcze dzisiaj za „Jagiellonidę“, ocenioną przez Mickiewicza, był w Tulczynie Dyzma Tomaszewski; nie zyskał sobie natomiast takiej herostratowej sławy gorszy od niego Benedykt Hulewicz. Obok piewcy Zofjówki opisany jest i jej twórca — inżynier Metzel, przyczem znajdują się szczegóły i o samym ogrodzie; szkoda, że nie dodano i innych opisów tego ogrodu, np. pióra Słowackiego lub Siemieńskiego. Plastycznym obrazem zepsucia obyczajów na dworze magnata są sylwetki szulerów i szachrajów: biskupa Sierakowskiego, Ign. Jukowskiego, Tomasza Wigurskiego. Nie brak i takich, co sumienie narodowe lub honor za pieniądze sprzedawali Moskalom, na czele ich stoi rządca Złotnicki, marszałek dworu, kończą zaś całą galerję dwaj targowiczanie, smutnej pamięci Suchorzewski i Suchodolski, jedyni posłowie, co gardłowali przeciwko Konstytucji 3-go Maja...

Książka wielce ciekawa i pięknie wydana, a badaczom dziejów XVIII w. bardzo pożyteczna. Jako wydawca tych źródeł (a nie pierwsza to jego praca, boć znany jest, jako współpracownik prof. Mościckiego w ogłaszaniu pamiętników z pocz. w. XIX), prof. Czartkowski ma rzetelną zasługę.

J. BIRKENMAJER

*) Pan na Tulczynie. Wspomnienia o Stanisławie Szczęsnym Potockim, jego rodzinie i dworze. Zebrał i wydał Adam Czartkowski. Lwów-Poznań, Wydawnictwo Polskie.

*

Studjum Romana Dmowskiego, ogłoszone rozdziałami w „Gazecie Warszawskiej“ p. t. „Anglja powojenna i jej polityka — Uwagi ogólne“, poprzedzone wstępem i uzupełnione, zostało obecnie wydane w osobnej książce. Wyszła ona nakładem księgarni Perzyńskiego, Niklewicza i sp. Kosztuje 3 zł. Dla sfer politycznych i dla wszystkich, którzy chcą rozumieć współczesne zagadnienia polityki światowej, książka Dmowskiego jest dobrodziejstwem. Nie wątpimy, że odrazu będzie rozchwytana.

*

Zamieszczony dzisiaj w „Myśli Narodowej“ artykuł „Forma w sztuce“ St. Pieńkowskiego stanowi część drugą rozprawy, rozpoczętej w zeszycie 2-gim. W trzecim artykule nastąpi zamknięcie tej niezmiernie interesującej rozprawy na temat, mający w filozofji sztuki wielkie znaczenie. St. Pieńkowski od szeregu lat pracuje nad filozofją sztuki. Ciężkie warunki pracy i wydawnicze nie pozwoliły mu dotąd opublikować dzieła już gotowego. Wkrótce ukaże się w księgarniach inna książka tego znakomitego krytyka pt. „Maski życia“. Wydaje ją firma Perzyński, Niklewicz i sp. Są tam cenniejsze jego studja i szkice estetyczne i krytyczne.

TEATR

NOWA KOMEDJA ST. KRZYWOSZEWSKIEGO

KAŻDE skupienie ludzkie, dobrze z sobą zżyte, wytwarza pewną atmosferę, w której lęgną się swoiste formy twórczości w zakresie obyczajów, powiedzeń, poglądów na świat. Tak powstaje folklor w przeciwieństwie do twórczości indywidualnej. Ta nosi imię twórcy, a różni się od folkloru tem, że jest dla środowiska niespodzianką—czemś nowem, ciągnie ludzi wgórę za włosy. Urokiem zaś bezimiennej twórczości obyczajowej jest odwrotnie to, że wszystko zgóry jest znane i dostępne, aż do

demagogiczności, najmniej wybrednym wytwórcom, będącym jednocześnie odbiorcami.

Nie tylko skupienie wiejskie bywa ludem. Warszawa nawet w sztuce ma swój folklor, dostępny — co prawda — wpływom zagranicznym, jak to bywa zawsze w folklorze, ale szybko nadający im swoistą barwę i treść. Autorytetem dla tego półludu warszawskiego jest „Qui pro quo", potem już tylko apokryfy, warjanty, wytwarzane za kulisami teatru, w jadłodajniach, kawiarniach, redakcjach. Jest to świat widocznie tak uroczy dla uczestników, że niczego im nie brak, nie zdradzają tesknoty do niczego lepszego. Doskonale się bawią, nawet znajdują w tym świecie pole samostarczalne do zaspokojenia najwyższych ambicyj. Są bowiem rangi i hierarchje. Książętami tego państwa są pisarze, krytycy, aktorzy. Krzywoszewski jest bodaj królem.

To też gdy on podejmuje Warszawę swoją sztuką, premjera staje się świętem. Role rozchwytują między siebie najlepsi aktorzy, krytycy słuchają z namaszczeniem, publiczność nie pozwala kończyć zdań, bo zgóry się śmieje, wiedząc zawczasu, co będzie powiedziane. Napewno czułaby się urażona, gdyby autor zaskocz ł ją czemś nowem. Tarza się w swojej swojskości. W sztukach, zamawianych przez to środowisko u p. Krzywoszewskiego, myśl i psychologja są zabronione. Obowiązują konwenansy wesołości, bulwarowość paryska, transponowana na Warszawkę (nie mającą jeszcze bulwarów).

I ta sztuka „Pan minister", którą widzieliśmy obecnie w teatrze Letnim, ma charakter sztuk ludowych. Satyra dotyka nadewszystko ludzi z innej parafji (z Radomia) i rząd, *bête noire* pospólstwa. Występuje Małgorzatka, spekulant giełdowy, senator protektor złodziei, typy sokolstwa, żona wiarołomna — wszyscy dobrodusznym uśmiechem oświetleni, bez żadnej gradacji psychologicznej i etycznej. Zawsze ktoś komuś żonę lub męża całuje, a wtedy (z góry wiadomo) w drzwiach ukaże się mąż lub żona. Bohaterka komedji, żoną ministra, dużoby dała autorowi, gdyby się mogła dowiedzieć, czy ona właściwie męża kocha czy nie, bo toby jej grę na scenie ułatwiło; ale i bez tego dobrze się dzieje. Jak na zabawie towarzyskiej.

Bo to jest zabawa, w której bierze udział autor, aktorzy i publiczność — wszyscy stanowiący jedno, zżyte z sobą kółko. Można z powodu niej mówić o obyczajach, nie o sztuce. Udział aktorów jest sprawą decydującą. Dosyć powiedzieć, że główne role grali pp. Jaracz, Ćwiklińska, Węgrzyn, Walter, Brydzińska, aby dać pojęcie, jakiej to klasy była uczta.

MIŁOŚĆ PO ŻYDOWSKU

TEATR Mały p. Arnolda Szyfmana wystawił, jako ostatnią nowość francuską, komedję Jakuba Natansona „Śmieszni kochankowie" w przekładzie Bol. Gorczyńskiego.

Trzy akty, wypełnione gruchaniem pary kochanków. Akt pierwszy miłość intelektualna, trzeci — fizyczna, drugi kombinowana. Dramat psychologji żydowskiej na poziomie wyrafinowania umysłowego, dramat dualizmu, nie mogącego znaleść syntezy.

Ustrój żyda, w porównaniu z aryjczykiem, jest dualistyczny. Aryjczyk jest psycho-fizyczny, żyd psychiczny i fizyczny, w dwu równoległych pasmach, które się nigdy nie przenikają. Ten sam dramat jest wątkiem jego życia w stosunku do ziemi; żyd się po niej ślizga, nie zapuszczając korzeni, jest tułaczem. W sferze oświeconej ten dramat wyraża się w syjoniźmie intelektualnym, który tak jest mowny, jak miłość Natansona. Ale w zetknięciu z ziemią entuzjazm gaśnie, nie zdolny zrodzić nic duchowego, coby miało rysy patrjotyzmu. Kończy się zawsze i wszędzie pasorzytnictwem, dramatem jemioły, od której ginie i on a i nieszczęsne pod nią drzewo. Ten sam dramat w stosunku do Boga: równoległość bóżnicy do życia, sabatu do dnia powszedniego. Wszędzie niemoc twórcza, niemożność prześwietlenia ciała duchem.

Pan Natanson, dzisiaj podobno francuz, zrobił z tego motywu komedję, w wysokim stopniu denerwującą słuchacza aryjskiego. Niekompletna świadomość jemioły francuskiej nie zdaje sobie sprawy z dramatu, układa jakieś prawo na rachunek drzewa kultury francuskiej, prawo stwierdzające niemoc miłości poza względną wartością użycia fizycznego. Cały stosunek dwu istot na tem użyciu tylko może być oparty i na nałogu, to zaś, co uderza na mózg, nie jest z życia realnego. Pojecie „serca" w słowniku tej poezji nie ma swego miejsca: jest mózg i chuć. Bohater Natansona jest kombinatorem tych elementów i to właśnie robi okropne wrażenie. Urządza sceny djalektyczne dwu mózgów, które w długich pojedynkach trzaskają drewnianymi rapirami polemik. A gdy w końcu mózgi się zmęczą, przychodzi kolej na ciało, które domaga się snu, jadła i równorzędnie zasycenia miłosnego. Pośrodku tych dwu skrzydeł tryptyku wprost niezrozumiała próba romansu platonicznego, schadzek dysertacyjnych, urozmaiconych całowaniem, którego Natanson nie uważa za konsumację. Ponieważ kochanek uprawia to całowanie podczas napięcia intelektualnego, a więc mechanicznie przeto na widzach sprawia zabawne wrażenie dentysty, robiącego zabiegi koło cudzej jamy ustnej. Od Platona do zwierzęcia jest sporo miejsca na różne objawy miłości, ale tu para zwierząt po ćwiczeniach intelektualnych rozbiega się w dwie strony, aby na boku sycić chuć: ten z dawną kochanką, ta z dawnym kochankiem. W ten sposób przy pomocy obopólnego oszustwa, kombinują potrzeby ducha i ciała. Jest to dla nich takie proste, że nie biorą sobie wzajemnie tego za złe.

Wszystko to razem nie wiadomo dlaczego dostaje się nam na scenę. Po co żydzi obnoszą się po literaturze ze swoją ubogą duszą w sposób tak niepoczytalny, a pretensjonalny zarazem?

Z. W.

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY ZAGRANICZNE

Na konferencji w Locarno ustalony został tekst t. zw. paktu reńskiego, traktatów arbitrażowych: francusko-niemieckiego, belgijsko-niemieckiego, polsko-niemieckiego i czechosłowacko-niemieckiego, oraz traktatów gwarancyjnych: francusko-polskiego i francusko-czechosłowackiego.

Według informacyj prasy niemieckiej ewakuacja strefy kolońskiej przez wojska sprzymierzone nastąpi dn. 15 listopada r. b.

W Lugano wznowione zostały rokowania polsko- litewskie, rozpoczęte w ubiegłym miesiącu w Kopenhadze.

Litewski minister spraw wewnętrznych wydał okólnik, zezwalający na wywieszanie szyldów w językach mniejszości narodowych, a więc i w polskim.

Komisja mieszana dla Górnego Śląska przyjęła do wiadomości, iż ustawa o amnestji zastosowana będzie również do osób, ściganych z powodu przynależności do Związku Powstańców Śląskich.

SPRAWY WEWNĘTRZNE

W trzydziestą rocznicę założenia „Przeglądu Wszechpolskiego" odbyła się dn. 18 b. m. w Warszawie konferencja krajowa Związku Ludowo-Narodowego, przy licznym udziale delegatów ze wszystkich części Polski. Referaty wygłosili: Roman Dmowski, prof. Roman Rybarski i poseł Stanisław Kozicki.

Na posiedzeniu Rady Naczelnej Związku Ludowo-Narodowego dn. 17 b. m. uchwalono szereg rezolucyj, domagających się wprowadzenia daleko idących oszczędności w gospodarce państwowej i samorządowej.

Bilans handlowy Polski za wrzesień r. b. wykazuje, według prowizorycznych zestawień, iż wartość eksportu z Polski wynosiła w tym miesiącu około 108 miljonów zł., wartość importu— około 73 miljonów zł.

Dn. 17 b. m. uroczyście otwarta została nowa kolej żalazna: Kutno—Płock. Dotychczas Płock i okolice pozbawione były zupełnie komunikacji kolejowej.

P. Hubert Linde, twórca i zasłużony prezes Pocztowej Kasy Oszczędności, ustąpił z zajmowanego stanowiska z powodu nadwątlonego stanu zdrowia.

W Wilnie odbył się wszechpolski zjazd staroobrzędowców.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.150.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.